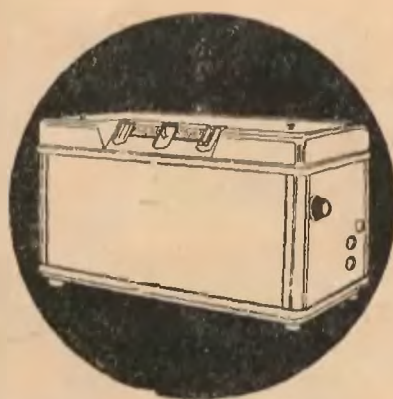


NAOKOŁO ŚWIATA



N^o 83

REIBETHNER I WOLFF
WARSZAWA



RADJO

dla wszystkich

WYMARZONY ODBIORNIK

TO APARAT

PHILIPSA

PEŁNA GWARANCJA

CENY PRZYSTĘPNE

WARUNKI DOGODNE

WIELKI WYBÓR

Nowe cenniki gratis, franco;



Bracia BORKOWSCY

Zakłady Elektrotechniczne S. A.

JEROZOLIMSKA 6



J. Smolińska

Kobieta-wampir

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Janinie: Rzeczywiście, środków do zębów jest w handlu b. duża ilość, i nie dziwię się, że Pani ma wątpliwości co do skuteczności i wartości tych środków, szczególnie, że wszystkie ogromnie się reklamują i niewiadomo co wybrać. Polegając na długoletnim moim doświadczeniu, poradzę Pani środki, które od wielu lat wypróbowałam. Dla utrzymania jamy ustnej w należyтым porządku i zachowania na dłuższy czas zębów w dobrym stanie, co jest bardzo ważne dla całego organizmu i estetyki, radzę do płókania ust używać *elixir Anidol*, lub kto lubi bardzo mocny, to *elixir Buccol*. Co się tyczy pasty, najlepsza jest *Philodont*. Używając ten elixir i pastę, zachowa Pani zęby zawsze zdrowe i czyste. Jeżeli zęby są żółte, lub robią się ciemne od palenia, to specjalnie polecam *wybielający proszek Albol*. Już po paru użyciach *Albolu* zęby nabiorą śnieżnej białości i połysku.

Kujawiance: Ręce w zimie trzeba koniecznie pielęgnować i ochraniać od czerwoności i pęknięcia. Jako najlepszy środek polecam Pani *Krem pralatów*, który już po paru użyciach daje nadzwyczajne rezultaty. Po umyciu, w wilgotne jeszcze ręce, wetrzeć cokolwiek *Kremu pralatów* i nie wycierać, ponieważ krem ten wciera się do sucha. Jeżeli idzie o wybielenie rąk specjalnie, to na noc wymyć ręce w dobrze ciepłej wodzie *Otrąbkami abarid* i wetrzeć troszkę *Kremu pralatów*, a następnie grubo przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida* i dobrze jest włożyć stare luźne rękawiczki, najlepiej niciane, aby utrzymać pyłek na rękach przez całą noc.

Sympatji: W drodze najlepiej twarzy nie myć, a odświeżać *plynem wschodnim Mimoza*, który doskonale odświeża twarz, oczyszcza pory skóry i nadaje twarzy świeży, młodzieńczy wygląd. Przy stałym stosowaniu *wschodniego płynu Mimoza*, twarz będzie zawsze czysta, gładka i bez pryszczu, oraz cera wybieli się.

Zmartwionej: Włosy Pani rozjaśni na złoto-blond kolor *plynem Hella*. Sposób użycia jest przy flakonie. Myć głowę w zimie radzę na sucho *pudrem Florentin*. Jeżeli Pani chce koniecznie myć szampoon'em, to radzę szampoon *Szachrazada*, który nie niszczy włosów

M-m Ercèdes

Treść Numeru 83-go

Str.

<i>Stefan Them:</i>	
Historja prima-aprilisu (5 ilustracji)	3—10
Wiosna idzie! (1 ilustracja M. Walentynowicza)	11—12
<i>M.:</i>	
Wiosna i zima życia (11 ilustracji)	13—22
<i>Z. K.:</i>	
Jak spadał wielki meteoryt	23—24
Ilustracje	25—28
<i>Roman Sobolewski:</i>	
Samochodem na pograniczu Liberji (9 ilustracji)	29—44
<i>Jerzy Borycki:</i>	
Kogo nazywają kibicem? (8 ilustracji)	45—50
Na jednym z dworców stołecznych (1 il. J. Kühna)	51—52
„To i owo” na szerokim świecie (12 ilustracji)	53—60
Ilustracje	61—64
<i>Sz.:</i>	
Tajemnice Wulkanów (5 ilustracji)	65—70
<i>Bronisław Stefanowski:</i>	
Pieniądze (5 ilustracji K. Mackiewicza)	71—88
Ręce a człowiek (6 ilustracji E. Wierzbickiego)	89—90
<i>B. Szarlitt:</i>	
Akademja detektywów (5 ilustracji)	91—96
Ilustracje	97—100
<i>Atak grubasów (8 ilustracji)</i>	
101—108	
<i>Władysław Kołomołocki:</i>	
Skrzydłaci Rzemieślnicy (8 ilustracji)	109—120
<i>A. Zagórna:</i>	
Szkoła derwiszów (7 ilustracji)	121—128
Szkic psychologiczny (1 ilustracja J. Jurkowskiego)	129—130
Grafologia	131—132
Ilustracje	133—136
<i>Mi-Hao-De:</i>	
W gościnie u Chińczyka (6 ilustracji)	137—142
Od Redakcji	143—144
<i>Stefanja Heymanowa:</i>	
Film kulturalno-oświatowy (9 ilustracji)	145—156
Rozrywki umysłowe (7 ilustracji)	157—164

Okładkę kolorową wykonał X. Koźmiński

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 722-14

Telefon ekspedycji 704-32

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki
od godz. 18 do 19³⁰

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi

6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 83

MARZEC 1931 R.



Przedwiosnie w mieście

Fot. Ruan — Warszawa

historja prima-aprilisu

Napisał:

Stefan Them

Pierwszy kwiecień jest jedynym, *śró*d trzystu sześćdziesięciu pięciu, dniem, w którym zwodzimy naszych bliźnich niewinnemi kawałami.

Tego dnia panna Lola uśmiecha się filuternie, gdy jej szef powie groźnym głosem: „została pani zredukowana”, nie ucieszy się czytelnik gazet, gdy ujrzy wielkimi czcionkami wypisane: „olbrzymi pożar! Wszyscy właściciele kin i biur wynajmu spłonęli”, nie przejmie się zbytnio naczelnik stacji kolejowej, kiedy otrzyma telefonogram: „na 83 kilometrze katastrofa stop dwa parowozy, tender, trzy wagony, rozbite na szmelc stop reszta, z wyjątkiem pasażerów, cała stop”. Dziwny to dzień. I naprawdę nie wiem jak się znaleźć, gdy mi pierwszego kwietnia powie kasjerka: „W sobotę wypłacę panu połowę honorarium...”

Teorie pochodzenia zwyczaju prima-aprilisowego są różne. Może pozostaje on w związku z pełną niespodzianką pogodą wiosenną, a może jest pozostałością żartami i figlami obchodzonego święta wiosny, które dziś jeszcze istnieje w Indjach pod nazwą: „Hul”. Według Quitarda zwyczaj prima-aprilisowy jest bezpośrednim wynikiem rozporządzenia Karola IX, który przeniósł, A. Domini 1565, święto Nowego Roku z dnia pierwszego kwietnia na pierwszy dzień stycznia. Było to bardzo wygodnie w styczniu obiecywać, że się złoży prezenty noworoczne, jak to



było to tej pory, w kwietniu, a, gdy nadszedł pierwszy kwietnia, wykpiwać się tem, że Nowy Rok już dawno minął.

Nowsze wiadomości o pochodzeniu zwyczaju prima-aprilisowego zdobyliśmy dzięki komicznemu *qui pro quo*. W roku 1927-ym przyrodnik, uczony, profesor *Fouderire* poznał na

Nie przejmie
się zbytnio
naczelnik
stacji...



jakieś akademii jedyną profesorkę „Kollegjum Australijskiego“, miss Hopkins zajmowała się specjalnie archeologią, historją starożytną, i w prywatnych rozmowach dzieliła się w wielkim zapale obrazami świata minionego z profesorem Fouderire, który nie myślał dotąd o istnieniu czegokolwiek poza morską fauną i florą. Wynik tych rozmów następujący: pięćdziesięciodziewięcioletni profesor F., który od trzydziestu lat zajmował katedrę „życia morskiego“, postanawia: *primo* — zagłębić się w objawiony mu przez miss Hopkins świat, *secundo* — odbyć z miss Hopkins wspólną podróż do ziem, po których kroczyły stopy dawnych królów i bogów.

Minęło pół roku. Profesor Fouderire, który przebywał właśnie w Mezopotamji, otrzymuje ośmiokrotnie czerwonym lakiem opieczętowany list od Berlińskiej Akademii. Powodowana kurtuazją zrehabilitowała pismo w języku francuskim. Treść pisma: Akademia Berlińska prosi profesora Fouderire o zbadanie sprawy „poisson d'avril“ i w związku z tem pozwala sobie przekazać na jego imię osiemset pięćdziesiąt tysięcy franków. Oczywiście chodziło tutaj o zwykłe makrele. Jednak profesor Fouderire, który zapomniał już o swej wielkiej przyrodniczej przeszłości, zrozumiał propozycję inaczej, i zabrał się do badania pochodzenia zwyczaju prima-aprilisowego, który to zwyczaj nosi we Francji nazwę „poisson d'avril“. A, że profesor Fouderire znany był Akademii Berlińskiej z tego, że odmawiał wszelkich informacji i sprawozdań o swoich pracach przed ich całkowitem ukończeniem, nie nagabywano go wcale pytaniami o przebieg badań. Dopiero więc przed dwoma miesiącami, gdy profesor Fouderire ogłosił wyniki dwuletnich studjów nad pochodzeniem zwyczaju pierwszokwietniowego, sprawa się wydała, została jednak przez oba zainteresowane czynniki, ile możności, zatuszowana.

Według rozważań profesora Fouderire zwyczaj primaaprilisowy bierze swój początek w figlu, jaki sam Pan Bóg z pierwszym dniem wiosny roku 3760 przed narodzeniem Chr. ¹⁾, spłatał Adamowi, gdy z żebra jego

zrobił piękną Chawwach-Ewę.

Dlatego to podobno nieżonaci mężczyźni mają o jedno zebro mniej.

Dalsze skrupulatne obliczenia profesora Fouderire, zgodnie zresztą z opinią wszystkich archeologów, wykazują czarno na białem, że w tym samym czasie (D. 3760 ante Chr. Natum) stał się wielkiej wagi fakt dziejowy w górnym i dolnym Egipcie. Król Menes zjednoczył pod swem berłem całą monarchję egipską. Jak profesor Fouderire wnosi



W prywatnych rozmowach...

¹⁾ Biblia, Patryarcha Hile, Pisma żydowskie do połowy IV wieku przed Chr

z odkrytego przez miss Hopkins fresku, którego reprodukcję zamieszczamy, podczas gdy król zajęty był ważnemi sprawami państwowemi, pani Menesowa zdradzała go z prostym zaczyniaczem ciasta. Gdy boski małżonek przyłapał swoją królewską połowicę na tak gorącym uczynku, zamierzył się w wielkim gniewie władcem berłem w jej kunsztownie trefioną fryzurę.

„Panie mój i władco! — rzekła królowa — prima aprilis”.

Rozbroiły te słowa królewskiego małżonka, śmiał się długo i serdecznie. I odtąd przyjął się na dworze egipskim charakterystyczny zwrot: — z kim pani ma prima aprilis? — A zwykły zaczyniacz ciasta został Nadwornym Kawalerem.

Od tego dnia co rok urządzał król Menes wielkie Memfisjady, na których najprzedniejsze osoby zjednoczonego Egiptu walczyły z sobą o papyrus pierwszeństwa w dowcipie.

Epokowe jest odkrycie profesora Foudierre kroniki z zapasów Memfisjady za czwartej dynastji faraonńskiej. Do konkursu stanął nieznany dotąd architekt Khamankarra i zaproponował Faraonowi zbudowanie sobie za życia olbrzymiego grobowca w kształcie czworokątnego, ostrosłupnego kapelusza, wielkości góry. Jednocześnie złożył dokładne plany i wymiary. Cały Memfis przez tydzień trzymał się za brzuchy ze śmiechu. Nie ulegało kwestji, że dowcipny architekt otrzyma pierwszą nagrodę. Ale — ubiegł go Faraon: śmiejąc się w kufak kazał dziwną budowlę wykonać.

Biedny Khamankarra, gdy ujrzał, jak jego pomysł pobity został przez samego Faraona na Memfisjadzie, wybiegł w rozpacz okrutnej ze świątyni, a, nie powstrzymywany przez nikogo, potknął się o narbrzmiałą kataraktę Nilu i znikł bez śladu pod powierzchnią krokodylowych wód.

Od tego czasu i Faraonowie-następcy przystępowali z początkiem wiosny do budowy piramid.

— Jak zmysł humoru — mówi dalej profesor Foudierre — wysoko był rozwinięty u Egipcjan, dowodzi fakt, który potwierdza wszystkie znane nam z tego czasu dzieła sztuki: w niezmierzonej żartobliwości swojej portretowali Egipcjanie zawsze bliźnich swoich — nogi z profilu, piersi męskie en face, damskie z profilu, ręce z profilu, nos z profilu, a oko en face.

Praca profesora F. nie ogranicza się do Egiptu. Profesor wykazuje, że w Grecji zwyczaj zwożenia się wprowadzili bogowie. Przytacza liczne, nie dające się zbić fakty, jak to schodzili bogowie z Olimpu i, miesząc się do walk ludzkich, płatali różne ucieszne hopy. Potwierdzają ten pogląd, między innemi, niektóre ustępy Odysei, której (rewelacja!) wdług.



*Panie mój boski i władco!
Prima aprilis!*

profesora F. nie napisał Homer, ale inny starzec tego samego nazwiska. Stąd także podobno pochodzi powiedzenie: „homeryczny śmiech”.

W dalszym ciągu poszukiwań znalazł profesor Fouderire nieznany nikomu dwuwiersz (podajemy w tłumaczeniu):

„O Venus Kallipige (o tłustych udach), gdzie Twoje boskie ramiona
Których ci nie dał mistrz zazdrosny bogów rozkoszy”.

Tak więc przecięte zostały dyskusje archeologów i artystów — gdzie Venus z Milo trzymała ręce, których, jak się okazuje, nigdy nie miała.

Wreszcie profesor Fouderire ma poważne wątpliwości co do istnienia Herostratesa. Jest jednak pewien, że spalił on świątynię Diany w Efezie dokładnie pierwszego kwietnia 356 roku ante Chr. n.

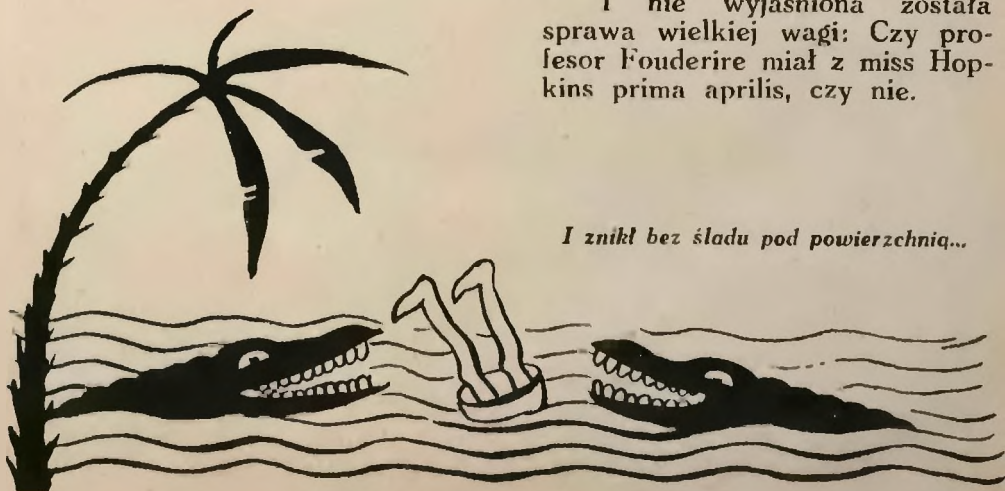
Podczas, gdy u Greków poczucie humoru prima-aprilisowego miała prawie wyłącznie arystokracja, w Rzymie starożytnym stało się ono udziałem demosu, który tłumnie defilując przed pałacem Cezara i możnych, wołał wśród śmiechu i radości: „panem et circenses!”

Na tem kończy się sprawozdanie profesora Fouderire. Dalszy ciąg, to jest wywody, w jaki sposób powszechny dziś zwyczaj niewinnego zwodzenia się w jeden dzień roku przeszedł do naszych czasów, miał profesor podać do wiadomości w następnej publikacji. Rozgoryczony jednak wyjaśnieniem sprawy owych nieszczęsnych „poissons d'avril”, postanowił opuścić Europę. Powrócił więc do Egiptu i tak długo zabiegał o względy królowej Menesowej, aż ta, mając wciąż w pamięci drogie chwile spędzonego w swoim czasie z zaczyniaczem ciasta prima-aprilisu, zgodziła się na ucieczkę z profesorem do Ameryki Środkowej. Kiedy dowiedziała się o tem miss Hopkins, wymogła na królu zjednoczonego Egiptu — Menesie — pożyczkę w wysokości ośmiuset tysięcy sestercyj, wydostała od Mussoliniego, pod groźbą, że opublikuje jego kawały prima-aprilisowe, odkryte przez profesora Fouderire, łódź podwodną — i pogoniła za uciekinierami.

Jak nas jednak informuje nadesłany łaskawie przez Informację Prasową Polską wycinek ze staro chaldejskiego papyrusu, łódź podwodna miss Hopkins, zbudowana na wzór sławnego klosza Aleksandra Macedońskiego, od chwili zanurzenia w okolicy Madery, nie ukazała się więcej na powierzchni.

I nie wyjaśniona została sprawa wielkiej wagi: Czy profesor Fouderire miał z miss Hopkins prima aprilis, czy nie.

I znikł bez śladu pod powierzchnią...



WIOSNA I ZIMA ŻYCIA

Fot. Ruon - Warszawa

Zbyt mało lat przeżytych ma poza sobą czteroletnia Jasia, aby się miała czemkolwiek poważnie i trwale przejmować. Poprostu — brak jej jeszcze trosk.

I dlatego właśnie rozbawioną twarz kieruje wprost ku słońcu i patrzy w nie tak długo, aż w roześmianych oczach zabłysną wielkie łzy. A wtedy zamknie tylko oczy i poprzez opuszczone powieki widzi wszystko w złocie i purpurze.

A ta staruszka?...





Długi szereg lat, przeżytych w znoјnej pracy, kładł się ciężarem ogromnym na jej bar-ki. Życie przełamało ją na dwoje i bruzdami troski przeorało twarz. Teraz wyblakłe od starości oczy zwrócone są ku ziemi, a jaskrawe plamy słoneczne, leżące u jej nóg, rażą boleśnie wzrok.

Oto są dwie postacie z wiosny i zimy życia...

✱

Pierwsza z nich czuje się doskonale wśród gromady rówieśnic i rówieśników, bawi się piłką, lalką i balonem z zajęciem i przejęciem, układa lalkę do snu lub wozi ją na spacer w wózku. A jeśli się zmartwi nawet, że balon, który przed chwilą miała w ręce, uciekł jej aż pod sufit, to niebawem potrafi już cieszyć się nanowo piłką, upuszczoną jej pod same nogi przez zapaltrzonego w ten właśnie balonik towarzysza zabaw, nie umiejącego jeszcze dostatecznie opanować tajników



*Skubanie pierza, obiad
u chłopców i „gazetka”*

jednoczesności działań. Sledzenie wzrokiem ulatującego balonika zmusza do podniesienia głowy, to pociąga za sobą konieczność otwarcia ust, a w takiej chwili czyż podobna jeszcze pamiętać o utrzyma-





Poobiednia pogawędka, pasjans, lub rozrywkowa gra w karty



O! O!... poleciał aż pod sufit...

niu piłki w rękach?

Starszym o rok kolegom tego mężczyzny udaje się to już całkowicie.

*

Przylulek dla dzieci i Dom starców... Dwa bieguny życia, świt i zmierzch, wiosna i zima.

Bywają swity jasne i wesołe i zmierzchy pogodne i ciche, a wówczas jedno i drugie mają swój urok.

Takie właśnie wrażenie pogody sprawiają znajdujące się w



Warszawie dwa zakłady dla małych i starych ludzi, którym mają one zastąpić ciepło rodzinnego domu. Niestety, ilość podobnych instytucyj jest jeszcze u nas bardzo ograniczona i dlatego zapewne druga postać z niniejszej notatki: zgARBiona we dwoje staruszka, zbyt często jeszcze dźwiga na swych spracowanych barkach niepomierne ciężar lat, przeżytych w trosce.

M.

Wiosenne chmury na pogodnym niebie powodują częste lecz krótkotrwałe deszcze

Jak spadał wielki meteor

W iadomo jest, że, spadające z przestrzeni kosmicznych bryły, zwane meteoritami, spolykają się na ziemi przeważnie przypadkowo, najczęściej jako odłamki metalu, zaryte w ziemię na kilka metrów, z wyjątkiem brył bardzo wielkich, których części wystają ponad powierzchnię gruntu.

Czas, przez jaki podobne fragmenty leżą w ziemi, nie podlega naogół określeniu, gdyż bardzo rzadkie są wypadki, w których można zaobserwować spadający meteor, tem bardziej, że najczęściej rozpryskuje się on na drobne cząsteczki, rozsiewane na dużej przestrzeni, w promieniu nawet kilkunastu kilometrów.

Otóż taki rzadki wypadek zdarzył się w roku 1930, w Ameryce, gdy kilkunastu ludzi było świadkami spadającego meteoru, otrzymując różne wrażenia, w zależności od miejsca i warunków obserwacji.

Około godziny 4-ej w nocy, dnia 17-go lutego zjawiał się na niebie, prawie że w zenicie, ognisty meteor nad miasteczkiem Evansville, w południowej części stanu Indiana. Opuścił się on szybko ku wschodniemu południowi, w kierunku rzeki Ohio, przeleciał nad stanem Missouri, na wysokość rozleciał się na trzy główne części, w okolicach Paragould, w stanie Arkansas.

Blask tych drobniejszych części meteoru szybko zmniejszał się w miarę ich spadku, i znikł zupełnie, gdy te znalazły się w odległości kilku kilometrów od ziemi.

Wybuch i zniknięcie meteoru, oglądane z odległości 100 kilometrów, robiły wrażenie wystrzału rakiety.

Jeden z odłamków przybysza ze świata kosmicznego widocznie po drodze rozpadł się na drobniejsze części, podczas, gdy dwa pozostałe spadły na ziemię pod postacią brył, ważących, jedna 372, a druga — 36 kilogramów.

W okolicach miasta St. Louis meteor wydał się ludziom tak ognisty, że wzięło go za samolot, dotknięty katastrofą pożaru, a nocny dyżurny miejscowego lotniska zabierał się do wydania różnych rozporządzeń ratunkowych.

W okolicy Paragould, gdzie całe miasto spało, ludność skoczyła na nogi, zbudzona ogromnym hukiem pękającego meteoru, a podobne zjawisko miało miejsce częściowo i w miastach, znacznie oddalonych od Para-

gould — miejsca spadku obu odłamków meteoru.

Na posterunku kolejowym Poplar Bluff służba nocna, słysząc silną detonację i oczekując akurat nadejścia pociągu, była przekonana, że nastąpiła katastrofa na linii — przypuszczalnie wybuch kotła lokomotywy.

Inżynierowie pewnej fabryki w Topeka (stan Kansas) telegrafowali do Paragould, że w okolicach tego ostatniego miasta spadł najwidoczniej aeroplan, który widziano w gorzącym stanie na tle ciemnego nieba.

Pewien farmer zaś, idąc nocą w jednym z miasteczek stanu Missouri, doznał niezwykle silnego wrażenia, iż na głowę spada mu ognista kula, i instynktownym ruchem uciekł na środek ulicy. Jest to zresztą wrażenie stwierdzone, że duże gorzące meteority, znajdujące się w odległości kilkuset metrów, zdają się spadać na głowy obecnych.

Niesamowite wrażenie wywarł ryk wybuchu meteoru, który rozszedł się we wszystkie strony z miejsca jego spadku po pewnym już czasie.

Tłumaczy się to tem, że meteority przesuwają się z prędkością większą od prędkości rozchodzenia się dźwięku, wobec czego ostatni dochodzi do danego miejsca później, niż obraz rozpadającej się ognistej bryły.

Opisywany tu meteor, jak wspomniano, rozpadł się na dwie części, przyczem większa była wciśnięta w ziemię o 4 kilometry dalej od miejsca, gdzie spoczęła część mniejsza.

Zgadza się to również z teorią, która powiada, że drobniejsze części meteoritów spadają prędzej pod działaniem siły ciężkości, natomiast fragmenty większe lepiej pokonywają opór powietrza, wobec czego lot ich zostaje nieco przedłużony.

Wielki meteor z Paragould znajduje się obecnie w Muzeum w Chicago.

W kronikach naukowych są zapisane wypadki, rzadkie zresztą, spadku „widzianych” meteoritów. Takim był meteor, który spadł w Czechosłowacji w r. 1866, w dn. 9 stycznia.

Największym meteoritem, znanym obecnie, jest połężna bryła, leżąca na miejscu swego spadku w Groofoutein w Południowej Afryce. Masę tego meteoru oceniają na 50 tonn.

Pozn tem w różnych punktach ziemi spotykają się olbrzymie bryły, pochodzące z okresów przedhistorycznych, które na zasadzie swej budowy są uznane za meteority.

Z. K.



fot. Anton Sahn, Monachjum

Poważne pierociki



Łot. dr. A. Wiczorek, Zakopane

Z krużganków Wawelu



Most w Gwinei

Samochodem na pograniczu Liberji

Napisał:

Roman Sobołewski

Poprzez żaluzje zamajaczył cień mego towarzysza i po chwili strumień oślepiającego światła słonecznego wdarł się wraz z nim przez otwarte drzwi do pogrążonego w głębokim mroku pokoju. Jest właśnie godzina największego upału, pora gnuśnej sjęstły, gdy każdy Europejczyk kryje się, gdzie tylko może, przed bezlitosnymi promieniami afrykańskiego słońca. Jednak przyniesione przez mego towarzysza wiadomości wyrwywały mnie odrazu ze stanu rozkosznej beczynności i miłego rozleniwienia. Otrzymaliśmy mianowicie oddawna oczekiwane zamówienie na transport towarów do Macenta, — osady, leżącej w kraju Toma, na samem pograniczu Liberji.

Jestem rad z nadarzającej się sposobności wyjazdu, gdyż będzie to moja pierwsza dalsza wyprawa w głąb kraju. Około 360 kilometrów dzieli Macenta od Kankan, miejsca mego obecnego pobytu, — drogi, nawet jak na miejscowe warunki niezwykle ciężkiej, lecz zarazem pięknej i ciekawej. Będziemy musieli przedzierać się przez gęste, dziewicze lasy podzwrotnikowe, głębokie, pogrążone w wiecznym mroku parowy, dzikie, skaliste góry oraz niezmierzone obszary broussy¹⁾. Nawet podczas t. zw. pory suchej droga ta niezawsze nadaje się do przebycia, gdyż daleko, w górach, deszcze padające tam w cią-

¹⁾ Stepu.

gu całego niemal roku do tego stopnia rozmywają jej nawierzchnię, że nawet piechur zapada się w grząskim, gliniastym błocie. Jednak według posiadanych przeze mnie informacji można liczyć w obecnej chwili na szczęśliwe odbycie tej podróży, to też zabieramy się niezwłocznie do niezbędnych przygotowań.

Z dziesiątek czarnych ładuje na samochód worki z solą, stanowiące nasz transport, jednocześnie mój „boy” Mamadou krząda się przy naszych żelaznych kuferkach, pakując do nich wszystko to, co może się okazać potrzebne w podróż. Nie zapomina o zabranii

składanych łóżek polowych z nieodzownymi moskitjerami, gdyż niejednokrotnie będziemy zmuszeni nocować w drodze — w najlepszym razie w napotkanych wsiach murzyńskich, w najgorszym, o ile zdarzy się nieoczekiwana i tak tu niepożądana „panna” samochodowa — wprost w broussie. Po raz ostatni oglądamy troskliwie nasz samochód, zwracając zwłaszcza baczną uwagę na działanie hamulców, które oczekuje ciężka próba sprawności. Przygotowania te zajmują sporo czasu, zbliża się noc, lecz mamy nadzieję dotrzeć do najbliższej większej wioski — Massigui jeszcze przed zapadnięciem ciemno-

*Prom
na
Milo*



*Wioskowy
łkacz*



ści. Lanzana — pomocnik mego boy'a — sadowi się na skrzynce z narzędziami na błotniku — wyruszamy.

Przeprawiamy się promem przez dopływ Nigru — Milo, mijamy parę chat murzyńskich, należących jeszcze do miasta — i po chwili znajdujemy się już w stepie. W okolicach Kankan, jak



*Jeden
z przymuso-
wych
postojów*

*Chata
murzyńska
we wsi
Feriboudou*



zresztą w całej prawie Górnej Gwinei, nie jest on piękny, ani pociągający, — zwłaszcza podczas miesięcy pory suchej. Jak okiem sięgnąć — małe, karłowate drzewka i krzaki, dość rzadko rosnące, wysokie żółkłe trawy i trzcinny, spalone przez słońce; miejscami przegląda spiekła, czerwonawa ziemia lub czarno - popielata skała. Gdzie niegdzie tylko wyrastają większe drzewa — potężne baobaby i serowce, dookoła których jakby tłoczą się nieśmiało co pomniejszych drzewinki. Zieleni mało — jedynie niektóre gatunki drzew i krzewów pokryte są grubymi, mięsistymi liśćmi, które ostały się zwycięsko przed niszczącymi promieniami słońca. Otacza nas krajobraz monotony — brak miejsca, na którym mogłoby spocząć oko; nigdzie nie widać kawałka ziemi uprawnej, nawet w pobliżu mijanych wiosek.

Spotykamy niekiedy czarnych, zmierzających w stronę miasta. Każdy z nich niesie na głowie swój ładunek, podtrzymując go

w równowadze zapomocą dwóch zwisających sznurków. Smiesznie wyglądają małe murzynieta, niosące z wielką powagą na swych kędzierzawych główkach wielkie wydłużone tykwy, wypełnione po brzegi orzechami kola. Dla zachowania równowagi, wypinają swe i tak już pękate brzuszki, przechylając całe ciało w tył. W miarę oddalania się od Kankan spotyka się coraz rzadziej podróżnych — step staje się pusty i odludny.

Drogę mamy narazie świetną: spiekła, gliniasta ziemia tworzy równą, twardą nawierzchnię — „ciągniemy” więc stale 50—60 km/g. Mimowoli nasuwają się nam dość smutne refleksje na temat naszych sławnych

drog polskich — a choćby takiej „reprezentacyjnej” arterji z Warszawy do Konstancja! Przejechałem dotychczas parę tysięcy kilometrów po bezdrożach i drogach Gwinei, Sudanu i Wybrzeża Kości Słoniowej — i muszę przyznać, że są one naogół lepsze od naszych przeciętnych szos. Nie należy tu brać w rachubę, rzecz oczywista, osławionych mostów afrykańskich, stanowiących prawdziwą rozpacz dla podróżnika. W odludnym stepie,

gałęzie łamią się, podskakują i usuwają z pod kół, tworząc dziury, przez które przegłąda woda. Po paru deszczach, gałęzie murszeją i most staje się wtedy prawdziwą pułapką dla niedość ostrożnych podróżnych.

Droga odbywa się stale w ten sposób: posuwamy się szybko naprzód, gdy wtem dostrzegamy zdala jakby stos gałęzi — most. Zwalniamy, zatrzymujemy się — i któryś z nas idzie badać sytuację. Zazwyczaj most



Przy pracy

zdala od wszelkich siedzib ludzkich, spotykam po drodze przed większymi zakrętami tablice z napisem „tournant dangereux!” — znów przypominają się nasze szosy, nie posiadające często znaków ostrzegawczych.

Zaczynają się ukazywać pierwsze „mosty”. Są one budowane w ten sposób, że w dno strumienia czy rzeczki wbija się kilka bali, na nich umieszcza parę kawałków drzewa — zaś na wierzch sypie się całe naręcza cienkich gałęzi. Oczywiście, że gdy nawet lekki samochód wjeżdża na taką „patentowaną” konstrukcję — cały most chwieje się, ugina;

jest w takim stanie, że wymaga doraźnej naprawy; wtedy Lanzana, zaopatrzony w swój nieodstępny coupe-coupe znika w przydrożnych chaszczach — i po chwili mamy już parę naręczy świeżo wyrubanych gałęzi. Często most jest tak zniszczony, że nie nadaje się do przejazdu, zwłaszcza dla obciążonego samochodu. Wówczas posyłam mego chłopca na poszukiwania jakiejś wioski w celu sprowadzenia pomocy. Po kilkogodzinnem oczekiwaniu pod zabójczymi promieniami słońca, wyłaniają się z zarośli postaci czarnych drapichrustów, którzy zabierają się do wyla-

dunku towaru i przenoszenia pak na przeciwny brzeg. Często jednak most spoczywa na dnie strumienia — pozostaje wówczas tylko przejazd wśród. Samochód przybiera niemożliwe położenia, kładąc się raz na prawą, raz na lewą stronę; koła ślizgają się po grząskim dnie, zapadając się powyżej bębnow hamulcowych. Czarni babrzą się w lepiem, czarnem błocie podkładając pod koła bale i gałęzie; zachcując się nawzajem gło-

odważamy się na przejazd. Samochód podskakuje, resory uginają się, słychać suchy trzask łamiących się pod nami gałęzi — ale przejechaliśmy!

Następnego dnia, po spędzeniu nocy w Fabala wjeżdżamy w jakby inny kraj. Droga wznosi się stale, wijąc się jak wąż wśród porośniętych bujną roślinnością gór. Trawy i trzciny stają się coraz gęstsze, coraz zielniejsze — nie widać niszczącego działania



Kobiety Toma w kąpeli

śnemi okrzykami do jak największego wysiłku, popychają nieszczęsny wóz, który wreszcie zaczyna drgać, koła przestają się ślizgać, chwytają twardszy grunt — i jednym jakby skokiem, hucząc całym gazem wydobywamy się z topieli. Można sobie wyobrazić, jak to wszystko utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia podróż, zwłaszcza, że na szlaku Kankan — Macenta mamy do przebycia 350 — dosłownie 350 mostów i mostków! Czasem nabieramy wprawy w ocenianiu „na oko” wytrzymałości mostu; pytamy się tylko naszego Lanzany „dobry?” — i z rezygnacją

słońca i suszy: padają tu już widać niekiedy deszcze. Mijamy wieś murzyńskie, ukryte w cieniu wielkich baobabów i serowców. Chaty toną w ciemnej zieleni licznych drzew mangowych; czasem poszczególne zagrody są otoczone dziwnymi w kształcie drzewami: to papaje, dające dobre, soczyste owoce zbliżone nieco do naszych melonów. Gdzieś niegdzie wyglądają z poza wysokich trzcinowych strzech szerokie, jasnozielone liście krzewów bananowych.

Czasem przebiegają nam drogę całe stada małych małpek, z zadziwiającą zręcznością

wdrapujących się na pobliskie drzewa. Potężne kopce termitów, przypominające swym kształtem wielkie grzyby, stają się coraz rzadsze — i wreszcie nikną zupełnie.

Posuwamy się wolno naprzód, gdyż poza stałem niebezpieczeństwem w postaci mostów, droga staje się grząska i błotnista. Dobrze już po południu zbliżamy się do wioski Kerouane, gdzie oczekuje nas przeprawa promem przez rz. Baoulé. Z czterdziestu Negrów, brodząc odważnie w wodzie mimo niedalekiego zapewne sąsiedztwa krokodylów, umocowuje kładkę, po której mamy wjeżdżać na prom. Naokół wzburzona ruchem woda gra w słońcu; czarne, nagie ciała poruszają się w nurcie, połyskując jak stary brąz. Jest już prawie wieczór — cała rzeka i wszystko co na niej się znajduje nabiera czerwonego koloru. Wszędzie słychać głosy, śmiechy i nawoływania — niekiedy wybuchają jakby kłótnie. Wreszcie wszystko przygotowane — wjeżdżamy na prom; wtem kładka, źle umocowana i niedbale trzymana przez Murzynów, obsuwa się, i tylne koła wozu opadają w rzekę, przyczem nasz samochód staje jak-

by dęba. Z rozpaczą niemal zabieramy się do ponownego wyładunku i wydobywania się z opresji. Zajmuje to nam sporo czasu — przeprawa przez rzekę odbywa się już wśród głębokich ciemności, przy świetle pochodni, gdyż noc zapadła już zupełna. Mimo to postanawiamy przenocować dopiero w najbliższej większej wiosce — Feribouedou, od której dzieli nas 20 kilometrów.

Droga prowadzi przez bujnie zarośniętą brousę, pokrytą wysokimi, przewyższającymi wzrost mężczyzny trawami; w świetle latarni samochodowych cienie krzaków i traw wydłużają się niepomniernie; drogi prawie nie znać — jedziemy trochę naoslep. Nagle, w silnym blasku reflektorów miga przez drogę jak błyskawica jakiś wielki, wydłużony, rudawy kształt — to zapewne pantera, którą spłoszył warkot motoru i przerwał rozpoczęte wieczorne łowy.

Zajeżdżamy do wsi; miejscowy królik ustępuje nam swą własną chałę, jednak decydujemy się zająć inną — pustą i czystsza. Nasz boy rozkłada łóżka — my tymczasem przyglądamy się życiu wsi. Przed chatami



Ludzie leśni w okolicach Kerouane



Widok ogólny Macenta

rozniecono ogniska. Płomień rozświeca wysokie, trzcinowe dachy chat, opuszczające się prawie do ziemi. Przed nimi siedzą lub stoją grupy Murzynów-mężczyzn i kobiet. Ludzie są wysocy i dobrze zbudowani; w czerwonym blasku, który modeluje wyborne muskuły ich piersi i ramion, wyglądają jak posągi, wyrzeźbione w hebanie. Mężczyźni i kobiety mają przeważnie tylko przepaski na biodrach — można więc dokładnie przyglądać się ich kształtom, niekiedy bardzo pięknym. Narazie zachowują się cicho i spokojnie — nie słychać prawie rozmów, gdyż są zaciękwieni naszym przyjazdem. Po chwili jednak zwykła ich gadatliwość bierze górę — i do późna w noc słychać nieskończone rozmowy, wydające się ciągłymi przekomarzaniem i kłótniami.

Śmiertelnie znużeni wsuwamy się pod moskitjery, zabierając się do zasłużonego wypoczynku. Nad ranem budzi nas boy — niezwłocznie też wyruszamy w dalszą drogę. Zbliżyliśmy się z każdym przejechanym kilometrem do gór i lasów, widniejących zdała

na horyzoncie; powietrze przeczyste i tak chłodne po nocnym deszczu, że marzniemy potrochu w naszych płóciennych ubraniach. Jednak z chwilą błysnięcia słońca staje się prawie odrazu ciepło — i w jego świetle ukazuje się w całej swej przebogatej, zwrotnikowej piękności otaczający nas krajobraz.

Droga, wykuta w skale, wznosi się ciągle, gubiąc się w jakby korytarzach skalnych, ze zwieszającymi się dziwacznie pokręconymi potwornymi korzeniami; na ścianach widnieją liczne otwory: kryjówki tak tu licznych węży. Ogromne, nieznane nam drzewa, połączone ze sobą płatanią ljan, wznoszą się nad gęstwiną chaszczów i traw. Niektóre z nich są dosłownie osypane czerwonymi kwiatami — inne białymi i na tle ciemnej zieleności każda barwa staje się jaskrawsza i żywsza. Niekiedy las staje się tak gęsty, że jedziemy jakby wielkim tunelem — gałęzie i liście tworzą w górze sklepienie, przez które słońce nie przenika. Staje się wtedy prawie ciemno. Wilgotne, parne powietrze wprost dusi.

Uderza cisza panująca w lesie: zrzadka odezwie się głos jakiego ptaka. Broussa i las są tu w dzień jakby wymarłe i dopiero w nocy odzywają się głosy różnych zwierząt — las wtedy ożywa i napelnia się tajemniczemi odgłosami i krzykami.

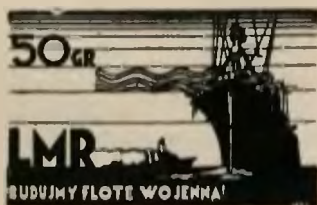
Nagle, w największym, zdawałoby się, gąszczu spostrzegamy poprzez sieć ljan wolniejszą przestrzeń a na niej parę nieudolnie skleconych szalasów. Wypelzają z nich półnagie postaci — prawdziwi ludzie leśni — którzy obsłepują nas dookoła, przyglądając się z ciekawością, połączoną ze strachem.

Las stopniowo przerzedza się, coraz częściej mijamy wioski murzyńskie, tak ukryte w cieniu drzew, że je trudno dostrzec; jedy-

nie zapach spalenizny i dymu oraz wysuwające się z poza krzaków postaci świadczą o istnieniu w tem miejscu osiedla ludzkiego. Zbliżyliśmy się do Macenta — zdała już widać wystrzelające w górę pióropusze palm kokosowych, słozkowe pokrycia chat; gdzie niegdzie błysnie w zachodzącym słońcu cynkowy dach domu Europejczyka.

Przejeżdżamy wyborny most na dość szerokiej rzeczce, w której piorą bieliznę pięknie zbudowane, zupełnie nagie, kobiety Toma; jeszcze kilometr — i zatrzymujemy się na obszernym placu targowym przed domem znajomego kupca-Greka. Jutro wybierzemy się dalej, za Macenta — wzdłuż granicy Liberji.

(Fot. autora).



Dokąd wpłacać na Flotę Wojenną:

Jedyne konto oficjalne kierownictwa Marynarki Wojennej P. K. O. 30636

Kogo nazywają kibicem?

Fotografie: Paramount

Według ogólnego pojęcia, kibic jest człowiekiem, który podczas gry w karty lub w szachy, ku rozpaczy grających, stoi lub siedzi gdzieś obok i, zupełnie nieproszony, wypowiada swoje zdania.

Kibic musi być wszędzie, musi wszystko widzieć, żeby natychmiast „wyskoczyć” ze swoim zdaniem. Na zawodach sportowych, na wszelkich zgromadzeniach — wszędzie go pełno. Wszędzie zachowuje się hałaśliwie, krzykliwie, dając wszystkim znać o sobie, koryguje decyzje sędziego, nieproszony zabiera głos, niepytany — odpowiada... bo on jeden jest nieomylny!

Kibic jest postacią ogólnie nielubianą, ciągle się wtrącającą, bo wszak „kibic” wszystko lepiej wie! („On wie lepiej!”, jak mówi nasz popularny „Lopek”-Krukowski).

W Hollywood słowo „kibic” stało się modne, a to z powodu ukazania się na ekranie filmu Paramountu pod tym tytułem. Właśnie podczas zdjęć tego obrazu w studio, między aktorami została przeprowadzona ankieta, kogo właściwie obdarzamy podobną nazwą i na ogół odpowiedzi wypadły nader dowcipnie. Przedewszystkiem zgodzono się ogólnie, że już za czasów Adama i Ewy, w raju, istniał „kibic”, a był nim nie kto inny, jak wąż, który nieproszony udzielił pierwszych rad Ewie. Ta pierwsza odpowiedź pochodzi od mało znanego u nas aktora, Harry Green, ale i następne wypadły niegorzej. Poniżej podajemy odpowiedzi niektórych gwiazd filmowych:

George Bancroft — bohater „Ludzi podziemi”, „Rozbitków życiowych” i innych doskonałych filmów sensacyjnych, wypowiedział się na ten temat w sposób następujący: kibic stoi beczynnie, gdy obok niego drugi robot-



*Nancy
Carroll*

William Powell



Maurice Chevalier



George Bancroft

nik pracuje. Kibic przygląda mu się i poucza go, jak ma tę robotę wykonać.

Popularny Maurice Chevalier — najulubieńszy dziś aktor filmu dźwiękowego, był tak zajęty zdjęciami do najnowszego swego filmu „Mała kawiarenka”, że nie miał czasu na długie tyrady, to też odpowiedział krótko: „Kibic pożycza sobie od ciebie maszynę i telefonuje ci z miasta, że mu wyszła benzyna”.

Nancy Carrol mówi: „kiedy jesteś zmuszona utrzymać dietę, kibic siedzi z pewnością obok ciebie i wychwala ci niebywałą dobroć różnych kremów i legumin”. Trzeba dodać, że Nancy bardzo lubi słodczyce i napewno taki kibic dał się jej bardzo we znaki.

Richard Arlen rozważa ten temat z praktycznego punktu widzenia i deklaruje: „kibic kupuje swojej żonie na imieniny najnowszą maszynę do prania, żeby mu jego bieliznę lepiej wyprać mogła”.

Gary Cooper — bohater „Maroccy”: „kibic prosi cię o jednego pupierosa, a zabiera przez zapomnienie całe pudełko”.

Richard Dix, widocznie bardzo czuły na głosy prasy,

dochodzi do wniosku: „kiedy ukaże się w gazecie jakaś nieprzychylna wzmianka o tobie, bądź pewien, że kibic będzie ją akurat czytał tobie przez ramię z tej samej gazety”.

Niezrównana trzpiotka Clara Bow, o której ostatnio dużo się mówi i pisze ze względu na rzekome pogwałcenie przez nią ustawy prohibicyjnej i wynikły stąd głośny skandal w świecie filmowym Ameryki, jak widzimy z zamieszczonej poniżej odpowiedzi, jest bardzo wrażliwa na pieniądze, mówi bowiem, że przyjaciółka, która ci daje listy do załatwienia na pocztę, ażebyś jej kupiła znaczki pocztowe — jest również kibicem.

William Powell — popularny czarny charakter, naturalnie tylko na ekranie, podchodzi do tematu również z tego samego, co

Clara punktu widzenia i stwierdza, że „kibic zaprasza cię do taksisa i tobie każe uregulować należność”.

Młody a mądry Charles Rogers mówi: „kibic przynosi na piknik szklanekę do wody i pokazuje ci, gdzie znajduje się wodociąg”.

Dawno niewidziana zmysłowa i kusząca Ewelyn Brent



Richard Arlen

odpowiada lakonicznie: „kibic prosi cię listownie o wyrządzenie mu grzeczności, ale list wysyła nieopłacony”.

A wkońcu popularny śpiewak operetkowy i bohater filmu „Król żebraków” — Dennis King mówi, że kibicem jest również ładna dziewczynka, która z przejeżdżającego autobusu przesyła ci rozkoszny uśmiech!

Jeżeli zaś chodzi o nas, to się najchętniej przyłączamy to tego ostatniego poglądu, będąc przekonani, że jego autor, mówiąc o ładnej dziewczynce, miał na myśli swe śliczne partnerki — ognistą Liljan Roth i pełną słodyczy i niewysłowionego wdzięku Jeanette MacDonald.

Jerzy Borycki



Clara Bow

Dennis King



Evelyn Brent

Na jednym z dworców stołecznych

JAK



WYGLĄDA
JĄ.

W PRAKTYCE



UDOŁOGODNIE
NIA

DLA



PODRÓŻ
NYCH



1844

„To i owo” na szerokim świecie

Nowy „fenomenalny wyczyn” rekordowy w stylu amerykańskim. Ta oto „bohatera” para tancerzy pobiła wszelkie dotychczasowe rekordy w dziedzinie tańca na wytrzymałość. Taniec ich trwał (w Chicago) ni mniej ni więcej — tylko 1300 godzin. O! jakże długich zapewne godzin! Z tej liczby 500 ostatnich godzin przetańczono bez przerwy i odpoczynku. Fotografia przedstawia finał tej imprezy. Ciekawy obłęd!



Berliński związek krawców męskich urządził w styczniu r. b. pokaz modeli „nowej mody dla panów”. Ani to ładne, ani wytworne, ale zato dość niezdarne. Należy wątpić, aby moda berlińska znalazła wielu chętnych naśladowców.

Pani Helena Bormet, która, pomimo swoich 101 lat życia, zarabia jeszcze na własne utrzymanie jako stała pracownica w jednej z fabryk w Vaugirard, koło Paryża. Twierdzi ona, że czerstwość i zdrowie zawdzięcza temu, iż nigdy nie korzystała z nowoczesnych środków lokomocji (nie jeździła nawet koleją!).



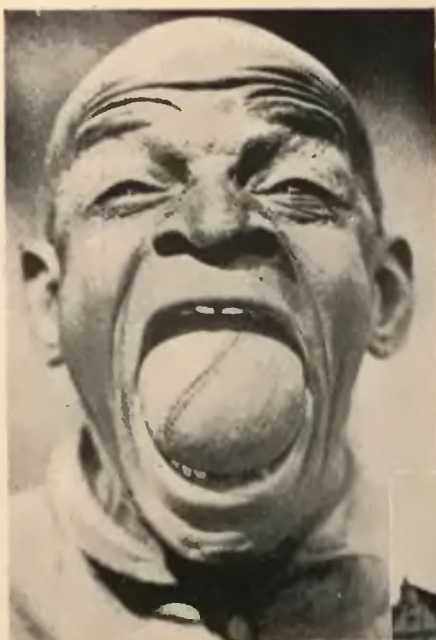
Małeńka lokomotywa, konstrukcji kpt. Howey, użyta na jednej z podmiejskich kolejek koło Ilythe w Anglii, która pomimo swych miniaturowych wymiarów dostarcza dostatecznej siły pociągowej dla przewozu 300 pasażerów.



Przesadnie dbała o staranny wygląd swej przyjaciółki - małpy pani S. — własnoręcznie robi jej manicure. Jak wynika z fotografii — małpa z zupełną determinacją poddaje się tym zabiegom.

Paryski Luna - Park sprowadził niedawno z Norwegii 20 sztuk wielorybów, płacąc za każdą sztukę około 25.000 koron. Oto jeden z okazów, przewożony na specjalnej platformie — waży blisko 40 tonn.





Podobno — rekordowo obszer-
na „buzia”, mieszcząca w so-
bie (z pewnym wprowadzie wy-
siłkiem) normalną piłkę tenni-
sową.

Wyjątkowo piękny skok psa-wilka,
specjalnie trenowanego do sko-
ków, na jednej z plaż w Anglii.



Uroczę „girlszy” z Florydy
urządziły sobie dość
kosztowną zabawę, sprowa-
dzając na plażę olbrzymią
bryłę lodu, na której chłó-
dzą się w miarę możliwości.
Jednej z nich, jak widać
z fotografii, nie sprawia to
wszakże zbyt wyraźnej przy-
jemności.



Gra w ten-ni-sa na lo-dzie należy do wyt-wornych, choć nie-lat-wych sportów.



Wynalazca amerykański, inż. Wilbur G. Nelson, skonstruował nowy model samolotu, który ma podobno spowodować przewrót w dziedzinie lotnictwa. Aparat ten będzie mógł jakoby bez żadnych trudności wznosić się pionowo w powietrze i w ten sam sposób lądować.



Fot. Poc. Atl.

Wielki okaz ryby morskiej, t. zw. „pila” lub „miecznik”, złowiony w wodzie koło Long Kay na Florydzie.





Imogena Robertson

for. Universal

Śliczna... laleczka



for. Z. Kluger i W. Szigetny

Golq̃b

Tajemnica wulkanów

Człowiek, któremu udało się zdobyć powietrze, a z pomocą fal radiowych pokonać przestrzeń i czas, do dziś dnia nie zdołał jeszcze odsłonić tajemnic, kryjących się w głębi planety, na której żyje! Istnieje wprawdzie specjalna gałąź wiedzy, zwana „wulkanologią”. Wszystkie jednak dotychczasowe jej zabiegi o wytłumaczenie czynności wulkanów okazały się daremne. Operuje ona wciąż jeszcze hipotezami, nie różniącemi się wiele od tych, do jakich doszli mędrcy starożytnej Hellady z Aristotelesem na czele. Filozof ten wybuchy wulkanów przypisywał — silnym wiatrom, jakie rzekomo mają wytwarzać się we wnętrzu ziemi. W długie lata po nim geograf grecki *Strabo* przypuszczał, że jakąś tajemniczą drogą woda morską musi dostawać się do „ognia podziemnego” i powodować erupcje wulkaniczne. W późniejszych czasach znowu, kiedy nie wierzono już w „wieczny ogień” podziemny, powstała hipoteza o — olbrzymich pożogach węgla kamiennego lub też zawierających siarkę kamieni w głębokich warstwach ziemi. Po najnowszych wreszcie zdobyczach chemji, niektórzy uczeni doszli do przekonania, że źródłem energii wulkanów musi prawdopodobnie być — rozpadanie się atomów...

To błądzenie poomacku wynika przede wszystkim z braku wszelkich danych o tem, co się — naprawdę dzieje we wnętrzu ziemi. Nikomu bowiem dotychczas nie udało się jeszcze poznać tego wnętrza. Do dziś dnia człowiek zdołał wkopać się zaledwie na jakie — trzy kilometry w głąb ziemi. To też wszelka nasza „wiedza” o wulkanach ogranicza się tylko do znajomości — śladów, jakie pozostawiają po sobie wybuchy.

Już w 1825 r. *Poulet-Scrope* bronił teorii, że we wnętrzu ziemi znajduje się jakaś roztopiona, miękka masa, która z powodu gorąca nabrzmiewa i wydostaje się szczelinami skał nazewnątrż. Masę tę nazwał *magma*” i nią to wciąż jeszcze operuje „wulkanologia”. Co do przyczyn jednak wydobywania się jej nazewnątrż, zdania uczonych są bardzo rozbieżne. Niema, nawiasem mówiąc, drugiej gałęzi wiedzy ludzkiej, w którejby podobna panowała różnica poglądów.

W ostatnich czasach dokonano szeregu nowych obserwacji, po których uczeni spodziewają się, iż zczasem umożliwią stopniowe odsłonięcie tajemnicy wulkanów. Wybudowano w tym celu szereg obserwatoriów, z których bada się wulkany w czasach kiedy — nie są czynne. Najbardziej interesujący materiał udało się zdobyć w obserwatorium na hawajskim wulkanie „Kilauea”. Badania odbywały się tam z pomocą różnego rodzaju termometrów i pyrometrów (ogniomierzów). Okazało się zaś przedewszystkiem, że lawa w głębi wulkanów jest — *zimniejsza* i dopiero przy wydobywaniu się nazewnątrż staje się gorętsza. Przekonano się ponadto, iż u góry kipi silniej, niż w warstwach głębszych. Gazy wreszcie, które w głębie spoczywającej masie są rozpuszczone, przy jej wydostaniu się nazewnątrż ulatniają się, tworząc przytem bańki i łącząc się z powietrzem atmosferycznym. Przez spalanie się zaś wodoru, tlenu węgla i gazów siarczanych żar pędzi ku górze. Wylew lawy jest zatem rozpościeraniem się masy „magmowej”, któremu towarzyszy wytwarzanie się ciepłoty. Doświadczenia w laboratorjach wykazały



*Wulkan
Stromboli.
(Jedyny
stałe
czynny
wulkan
w Europie)*

o jakie — ilości gazu tu chodzi. I tak: z granitu ogrzanego do 1000 stopni Celsjusza, wydobyto z każdego metra sześciennego — 21 metrów sześciennych gazu!

Stwierdzono ponadto, iż w samym kraterze odbywa się bezustanna walka między — oziębianiem się a upłynnieniem lawy. Badanie zaś t. zw. *jezior* w głębi wulkanów z pomocą stalowych rur wykazało, iż głębokość ich wynosi zaledwie 12—15 metrów i że zasilane są przez jakieś podziemne źródła. Stężały słup lawy jest gorący i plastyczny, a sięga

w nieznane głębiny, w których z miękkiego i płynnego stanu przechodzi w pierwotną, wydostającą się dopiero nazewnątrz lawę, znajdującą się pod wysokim ciśnieniem, a której gazy są w niej jeszcze w stanie zupełnie rozpuszczonym. Tej to pierwotnej lawy dotychczas żadne jeszcze oko ludzkie nie ujrzelo! Kiedy bowiem wydostaje się ona nazewnątrz, zmienia się natychmiast na przepelnioną gazami, zoksydowaną i rozgrzaną szumowinę, zapewne bardzo mało już tylko podobną do „magmy” pierwotnej.



*Etna.
(Na
pierwszym
planie
strumienie
lawy,
w głębi
obserwa-
torjum)*



*Wulkan
na Martinie*

Najciekawszym zaś może wynikiem tych najnowszych badań jest stwierdzenie, że zarówno jądro słęzalego słupa lawy, jak i plynna masa — ciągle wznoszą się i opadają! Akt ten przypomina zupełnie — oddychanie. Prawie w tym samym rytmie zaś dzień w dzień wznosi się i opada także — poziom jezior wulkanicznych w głębi ziemi. Oprócz tego codziennego aktu zdolano także poznać — inne perjodyczne wznoszenie się i opadanie poziomu lawy. Obliczono mianowicie, że wielkie wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi powtarzają się w perjodycznych okresach co 130 lat. Prawdopodobnie zaś okresy te pozostają w związku z okresami — plam słonecznych...

B. Sz.



*Wybuch
wulkanu
Brono na
Jawie
i
strumienie
lawy z wulkanu
Merapi
otaczające
wieś na Jawie*

Bronisław Stefanowski

PIENIĄDZE

ILUSTRACJE KAMILA MAKIENIEWICZA.



Ostatni, przenikliwy krzyk bosmana — i trap, wciągnięty potężnem szarpnięciem sześciu obnażonych ramion, uderzył głucho w świeżo zaciągnięty białą falą pokład.

Z kapitańskiego mostku rozległ się syczący głos gwizdka, śruba spieniła wodę i „Pedro Alvarez”, dwunastotysięczno-tonnowy pasażerski okręt „Sud Africa Line” skierował leniwie dziób w stronę wyjścia z portu. Mały, czarny jak żuk i kopczący niezdolnie stateczek pilota zabuczał chrypliwie, zakołysał się gwałtownie na fali, która odbiła się od podmurowań mola i ruszył przodem, znacząc swój ślad białem pasmem spienionej wody.

Van Boerne wybrał najwygodniejszy z trzcinowych foteli, ustawionych na promenadzie pierwszej klasy, i starannie zapalił cygaro. Oczy jego, zmęczone oczy człowieka, który za dużo widział, prześlizgiwały się bez cienia ciekawości po brudnych zabudowaniach lizbońskiego portu, po kanałach i dokach, w których jaśniały białe brzuchy okrętów — i zatrzymały się na jasnej, długiej smudze piany, którą zostawiał pracowicie oddychający stateczek pilota.

Pilot, wysoki mulat portugalski, oddał ster „Pedra Alvarez” w ręce bosmana, szerokim ruchem ramienia pożegnał kapitana i zbiegł na dolny pokład. Śruba przestała wstrząsać okrętem, mały, czarny stateczek przylutuił się do niego na chwilę i pilot wskoczył na jego pokład. Ostatnie pożegnanie, ostry gwizdek — i „Pedro Alvarez” majestatycznie wypłynął na wody oceanu.

Van Boerne gonił oczyma oddalający się szybko statek pilota. Coraz bardziej zacierała się wypisana białą farbą nazwa pracowitego potworka: „Sweet Mary”.

Sweet Mary!...

Van Boerne natężył pamięć; Shanghai? Ech, chyba nie, raczej któryś z portów po drugiej stronie Wielkiej Wody.

Szukał we wspomnieniach postaci, przywiązanej do tego imienia, błąkał się w labiryncie myśli, które przynosiły ze sobą zapomnianą już dawno przeszłość: Sweet Mary...

Oscar Van Boerne uśmiechnął się; jakże prędko przelatuja, jakże często się powtarzają te niepowtarzające się chwile. Oto minęło tak niewiele miesięcy, a z kipiącej rozkosznej przygody znikł posmak kształtu i zostało tylko imię. Pusty dźwięk. Imię!

Mężczyzna pochylił lekko siwiejącą na skroniach, mocno zarysowaną głowę. Dziwne, subtelne wrażenie: wspomnienie przeszłości zgniotło mu serce chmurą narkotyku. Gdzieś, na dalekich ładach, na błękitnych morzach została młodość i „Pedro Alvarez” pruć rozkapryszone fale Atlantyku, znikły w oddali słoneczne kontury Lizbony, i od południa ku północy rozlały się w przestrzeni opalizujące wody oceanu.

Dzwon uderzył dwa razy — i Van Boerne, odrzuciwszy wspomnienia, jak niepotrzebny strzęp przeczytanej już gazety, skierował się powoli do sali jadalnej.

*

Dwadzieścia lat temu Oscar Van Boerne wierzył jak wszyscy szaleni młodością ludzic, że wystarczy wyciągnąć rękę na szerszy świat, aby przeznaczenie napełniło ją złotem. Ale zamiast złotych syklów padały miedziaki, zamiast uśmiechu szczęścia widział tylko klęski swoich zamierzeń, i pech po pechu ścigał go wytrwale. Zmierzył stopami niezmordowanego poszukiwacza całą kulę ziemską. Jeden cel widział przed sobą: pieniądze! Ale pech był wszędzie jednakowy: w jasnych kasynach Monte Carlo i ponurych lasach Alaski.

Był elegancki, przystojny, nosił ładne nazwisko — a jednak ożenił się mając już lat trzydzieści siedem. Szczęście małżeńskie trwało krótko. Wspominał o tem niechętnie, nie mówił nigdy. Ot — stało się tak — że znowu został sam.

W średniowieczu byłby alchemikiem; wszystkie swoje zdolności, cały pęd życiowy pragnął zamienić na pieniądź i może dlatego właśnie wszyscy jego pomocnicy robili fortunę — a on nigdy nie miał nic. Jakiś krach zwrócił na niego uwagę ministra kolonii — i teraz jechał jako inspektor do kopalni diamentów w Transvalu, będącej własnością rządu holenderskiego.



Van Boerne wybrał najwygodniejszy z trzcinowych foteli...

Kapitan zaprosił Van Boerne'go do swego stołu, przy którym miała się skupić cała elita publiczności, jadącej na „Pedro Alvarez”. Sala jadalna wypełniała się powoli tą różnorodną publicznością, która zna cały świat. „Sud Africa Line” nie cieszyła się zbyt dużą popularnością, ale „Pedro Alvarez” odchodził w sezonie i wielu natalskich kacyków wracało do swojej ziemi obiecanej.

Van Boerne z lekkim uśmiechem patrzył na wydatne brzuchy, na pięknie hodowane łysiny djamentowych potentatów — mimowoli pomyślał, że ci wszyscy mają pieniądze, wiele pieniędzy.

— Nie jestem do nich podobny — pomyślał, i uśmiechnął się, zrozumiawszy podwójne znaczenie tego zdania.

— Pan pozwoli — usłyszał głos kapitana — Inżynier Van Boerne — pani Ruff. — Zaczynała się prezentacja...

Van Boerne ścisnął wyciągające się do niego dłonie, szeptał zdania mające ilustrować jego zachwyt z poznawania tak interesujących ludzi i odelchnął z prawdziwą ulgą, kiedy nudna ceremonia zakończyła się i szesnastu wybranych zajęło miejsca przy stole kapitana.

Podano szampana.

— Piję zdrowie wszystkich pięknych pań — uroczyście przemówił kapitan, wznosząc ruchem, który zdradzał długoletnią rutynę, kielich, do połowy wypełniony winem — i gentlemanów, którzy zechcieli zaszczyścić mój okręt swoim wyborem. Za naszą szczęśliwą podróż!

Van Boerne znał świat i ludzi; nie interesował się sprawami, które znał tak dobrze — jak się zna dni tygodnia. Za tydzień wszystko będzie między tymi ludźmi ułożone — i będą pasowali do siebie — jak glansowane rękawiczki; och, znał dobrze te flirty, zaczynające się z chwilą wstąpienia na pokład i kończące się w minucie powitania z mężem czy kochankiem czekającym na wysuniętem w morze moło.

W chwili, kiedy myśli snuły mu się po głowie, oczy jego spotkały się z oczami patrzącej na niego kobiety i Oscar Van Boerne zadrżał. Przejęło go nawskroś nagle, radosne stwierdzenie, odczuł bliskość czegoś, co bezpowrotnie napozór minęło a teraz znowu dotykało subtelncmi palcami jego piersi.

Sweet Mary — —

Och, teraz przypomniał sobie doskonale! Kair, białe szerokie ulice, palmy szeleszczące płachtami liści na wietrze — lekki, powiewny krok kobiety, która szła obok niego — i uśmiechała się słuchając słów, które jej mówił tego słonecznego, uśmiechniętego popołudnia.

Sweet Mary nazwał ją jeden z jej znajomych, młody zuchwały oficer francuski. Utonął potem gdzieś, w jakiejś katastrofie na końcu świata i Sweet Mary długo mówiła o nim Oskarowi Van Boerne, nie dotykając chusteczką oczu, z których spływały ciężkie, przezroczyste łzy.

Czy Van Boerne kochał ją? O, chyba nie, uczucie miłości raz jeden tylko gościło w jego sercu, i zbyt bolesnem było rozstanie z niem, aby mogło się powtórzyć.

Przecież zapomniał: jeszcze przed godziną usiłował sobie uświadomić — kim była Sweet Mary. — —

Zapomniał.

A jednak nie opuścił wtedy Kairu z lekkim sercem; pamięta dobrze to dziwne uczucie: słowa wydawały się białe i bez treści, a jakiś niezrozumiały skurcz podchodził do gardła i zjawiało się pragnienie uścisku, w którymby można było chwilę zakląć w życie.

Van Boerne nachylił się ku swemu sąsiadowi.

— Wybaczy pan, że go fatyguję — ale czy nie zna pan wypadkiem damy, siedzącej po prawej stronie kapitana?
Zapytany spojrział.



— Piję zdrowie wszystkich pięknych pań...

— To pani Ernestyna Deering.

— Pani Deering?! Żona Zygmunta Deeringa, bankiera z Amsterdamu?!!

— Zdaje się — że tak.

Oscar Boerne przypomniał sobie potrzebne mu fakty z zawrotną szybkością; Deering! Spekulant — niecolający się przed niczem — jeżeli celem były pieniądze. Och, pamięta przecież doskonale nieszczęsny pomysł założenia agencji w Indjach Holenderskich, krach swój i sprzedaż za grosze tego, co kosztowało tyle pieniędzy i pracy. Kupili jego agenty przedstawiciele domu Deering i Robach...

Patrzył na kobietę uporczywie, aż odczuła jego wzrok — i żrenicami, które miały być dumne i odpychające — a były tylko ciekawe, zmierzyła się z wzrokiem mężczyzny.

*

Wieczorem, po obiedzie, przy którym Van Boerne zamienił kilka zdawkowych zdań z panią Deering, inżynier wyszedł na pokład.

Było pogodnie i zwabieni pełnią księżyca pasażerowie rozeszli się po statku szukając miejsc, najbardziej dostosowanych do romantyzmu chwili.

Van Boerne oparł się o balustradę; nigdy w życiu nie odczuwał równie silnej niechęci do niespodzianek, których pełna była jego wędrówka, zamyślił się nad losem ludzi, którzy w jego wieku osiągnęli już stanowisko i majątek, a razem z nimi spokój, życie pozbawione posmaczku przygody i sensacji... Silniejszy podmuch wiatru odchylił jedwabną klapę smokinga — i musnął miejsce, gdzie niespokojnie i chorobliwie biło serce.

Inżynier odszedł od balustrady i wolnym krokiem zmierzał w kierunku wybranego przed lunchem fotela.

Ktoś go trącił.

— Przepraszam!!

Była to pani Deering.

Dyskretny księżyc skrył się za chmury i nie oświetlił rumieńca, który zapłonął na twarzy kobiety.

— Wyszła pani na mały spacer? — zapytał spokojnie Van Boerne.

— Właściwie — nie... Chciałabym usiąść gdzieś na pokładzie... Nie wie pan gdzie są fotele?

— Nieco dalej. Pozwoli się pani do nich zaprowadzić?

Usiadł. Inżynier z dziwnym wzruszeniem patrzył na twarz kobiety i podziwiał prozę, może nieco zbyt dumny, ale piękny i mocny w wyrazie.

Potrzeba szczerości, niewytłumaczonej niczem i nierozsądnej, nagła chęć powiedzenia zdań, które pozwoliłyby na odruch subtelnej czułości, co stała się płonącym szaleństwem — ogarnęły Van Boerne'a.

Zaczął mówić i głos jego drżał lekko.

— Niech mi pani wybaczy, pani Deering, to, że byłem dzisiaj przy obiedzie zbyt zuchwały. Nie umiem się tłumaczyć, a wiem — że to największe przestępstwo nie umieć wytłumaczyć przestępstwa. Jeżeli wina moja jest bardzo wielka — proszę mnie potępić. Jeśli zasługuję na przebaczenie — proszę mi tych słów nie brać za złe.

Pani Deering milczała.

— Wieczór ten — mówił powoli mężczyzna — jest bardzo piękny. Takich wieczorów nie przeżywa się wiele w życiu. Nie chciałbym — żeby mnie pani źle rozumiała — ale szczęśliwym będę — jeżeli dla mnie będzie jedynym.

Przebiegł pośpiesznie biało ubrany steward, przechodzili gentlemani palący na pokładach wieczorne cygara, monotonny łoskot śruby rozdzielał ciszę nocy wiszącej pod baldachimem gwiazdnego, pogodnego nieba — i równe uderzenia fal wprawiały kadłub statku w nerwowe drżenie.

Wysoki mężczyzna stanął przed rozmawiającymi.

— Dobry wieczór!

Van Boerne podniósł się ze swego fotela.

— Mój mąż... — przedstawiła pani Deering. — Inżynier Van Boerne.

Panowie uklonili się sobie i potoczyła się luźna, obojętna rozmowa i rzecz dziwna, Oscarowi Van Boerne wieczór zaczął się wydawać znacznie mniej pięknym — niż był przed kilkoma zaledwie minutami.

*

Po dwóch tygodniach nic się napozór nie zmieniło na białych pokładach „Pedra Alvarez”: monotonnie szumiały śruby, monotonnie oddychały stalowe płuca okrętu, na kapitańskim mostku, tkwiła nieruchoma sylweta wachtowego oficera, a w sali towarzyskiej triumfował nieśmiertelny bridge. A jednak... Van Boerne, człowiek bez złudzeń, rozumiał doskonale, że z każdym dniem krystalizował się jego dziwny stosunek do pani Deering, że z coraz mniejszą sympatią patrzył na niego jej mąż. Trudno było opanować sytuację do tego stopnia, żeby móc sobie powie-

dziedć bez ceremonii, że pan Deering jest tylko mniej miłym dodatkiem do swojej żony — i żeby rozpocząć tę grę — która nazywa się flirtem w języku ludzi, którzy obserwują.

Panią Deering ciągnęła jakaś fatalna siła do tego spokojnego, grzecznego człowieka, który mówił o sobie niechętnie i mało: rozumiała doskonale, że spotkanie z nim wyrzucić musi zasadniczy wpływ na jej dalsze życie; jaki? — tego nie umiałaby zdefiniować.

Dlatego też bez fałszywego oburzenia przyjęła stwierdzenie przez Inżyniera miłości dla niej; spokojnie, bez afektacji spojrzała w swoją przeszłość, i nie zobaczyła w niej ani jednego silniejszego wzruszenia, ani jednego jaśniejszego dnia. Przyszłość? Och, tam wolą nie patrzeć!



Nagła cisza zbudziła Van Boerne'a

A jednak, nie wyobrażała sobie zupełnie, jak się ułożą dalsze koleje jej życia. Tego samego dnia wieczorem towarzystwo, obiadujące przy stole kapitana, siedziało w małym saloniku, przytykającym do sali, w której grano w bridge'a. Pan Deering opowiadał o swoich wspomnieniach z Transwalu.

— Dopiero tam — mówił z lekkim patosem. — Widzimy, że za pieniądze można wszystko kupić! Wszystko! Tam, w kopalniach diamentów triumfuje wszechwładnie żądza życia i użycia, chęć zubożenia się za wszelką cenę. Kupuje się wszystko: cenne kamienie, moralność, ludzi wreszcie!

— Ludzi?! — zdziwił się któryś ze słuchaczy.

— Tak, ludzi, i zapewniam państwa, że nie jest to towar najdroższy.

— Jakże można oceniać wartość człowieka na funty szterlingi! — oburzyła się jedna z pań.

— Pani — zwrócił się do niej Deering — idealizm jej jest naprawdę bardzo piękny, ale czyż naprawdę wierzy pani w to, że istnieją ludzie, którychby nie można było kupić? Niema takich! Jeden kosztuje pięć dolarów — inny milionów funtów. Ale takiego, który mógłby o sobie powiedzieć: jestem bez ceny, jeszcze nie nosi kula ziemską.

Van Boerne słuchał z uwagą. Tak, bezwątpienia, Deering miał rację. Życie ludzkie — to nie największa wartość na ziemi. Przykłady? Miał ich aż za wiele...

Deering zauważył jego zadumę.

— A pan jest jakiego zdania, inżynierze Van Boerne?

— Sądzę — że ma pan rację.

Pani Deering spojrzała na niego.

— No tak, przypuśćmy, że panowie mają słuszość. Ale gdyby pana, panie Van Boerne, zapytano, na ile pan siebie ocenia, czy gdyby pana chciano poprosić kupić czy umiałby pan wyznaczyć cenę na siebie?

Inżynier uśmiechnął się.

— Nie mam pod tym względem doświadczenia, proszę pani. Jeszcze mnie nikt nie chciał nigdy kupić i mam wrażenie, że moje życie przedstawia wartość jedynie dla mnie.

Deering roześmiał się złośliwie.

— No dobrze, wybaczy pan, że go przycisnę do muru, ale gdyby teraz, powiedzmy dziś lub jutro trafiła się panu taka okazja, jakby pan określił wartość swego życia?

— Powołałbym państwa na ekspertów — żartował Van Boerne.

— Nie, inżynierze, pytam zupełnie poważnie!

Van Boerne zrozumiał wyzwanie.

— No, powiedzmy, żeby się znalazł ktoś, kto by mi ofiarował za moje życie sto tysięcy funtów, mam wrażenie — że bym się zdecydował.

— Więc nie jest pan pewny? — nalegał Deering.

— Nie, jestem zupełnie pewny! — zniecierpliwiał się inżynier.

— Bez względu na sytuację i okoliczności?

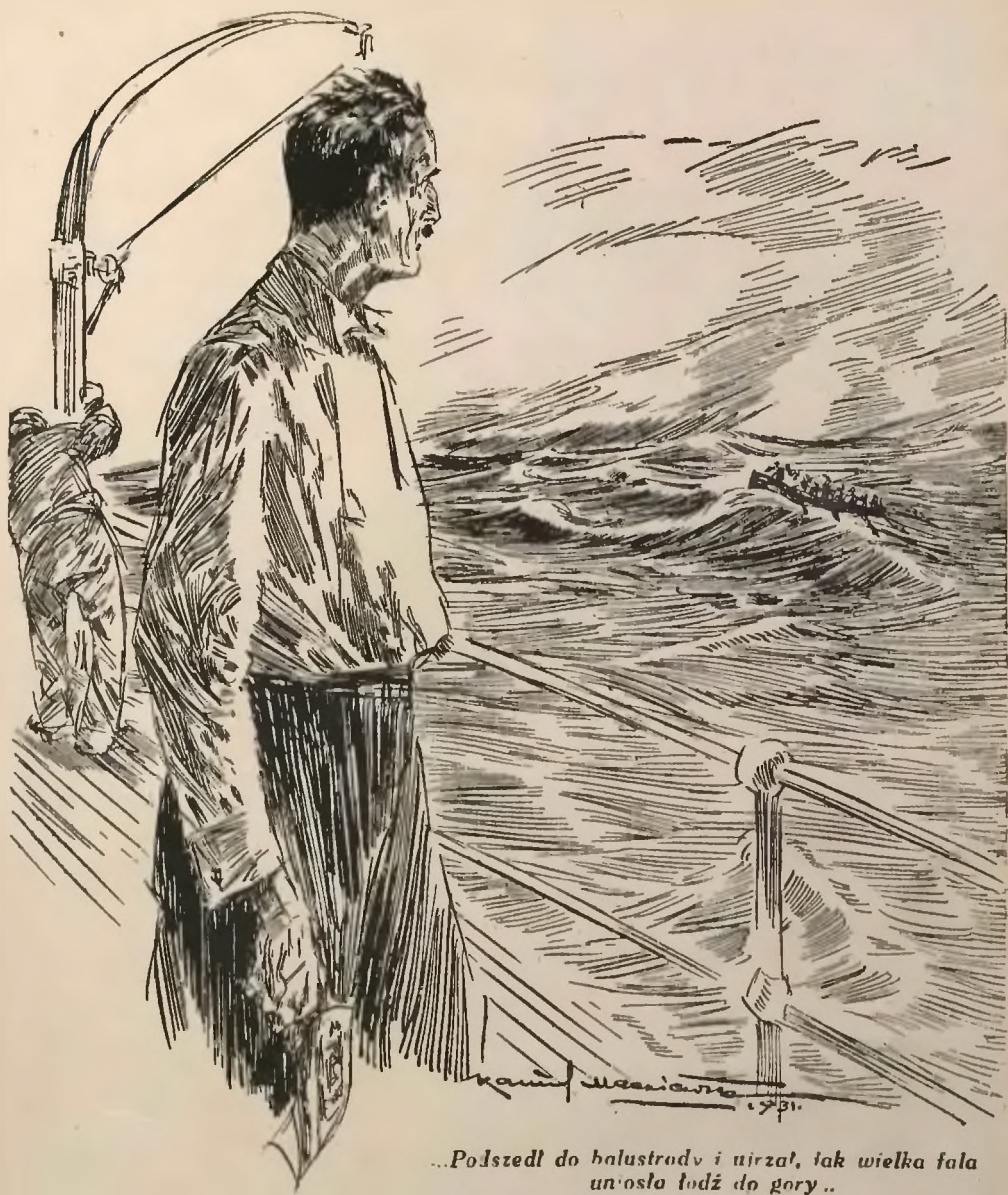
— Rozumie się.

— I nie cofnąłby się pan pod żadnym pozorem?

— Drogi panie — odpowiedział z lekką dumą Van Boerne. — Nie zwykłem się cofać, choćby mnie to miało najdrożej kosztować.

— Byłbym szczęśliwy, panie Van Boerne, gdyby udało mi się pana przekonać, że czasami odwrot jest najlepszą rzeczą!

Inżynier uśmiechnął się szyderczo.



...Podszedł do balustrady i ujrzał, jak wielka fala
uniosła łódź do góry..

— Obawiam się, panie Deering, że zrobiłbym panu zawód... Pokusa posiadania takiej sumy pieniędzy byłaby silniejszą od wszelkich innych!

W tejże chwili zauważył, że pani Deering przypatruje się mu z wielką uwagą i zrobiło się mu dziwnie przykro.

*

Nagła cisza zbudziła Van Boerne'a; podniósł głowę z poduszki i zrozumiał: maszyny stanęły!

Nastłuchiwał przez chwilę; cóż znaczy, na Boga, ta cisza?

Ubrał się pośpiesznie i walcząc z rozkołysaną podłogą wybiegł na pokład; niesamowity widok uderzył jego oczy: stali tam zebrani wszyscy pasażerowie pierwszej i drugiej klasy w jakimś strasznym oczekiwaniu, złączeni przerażeniem i troską.

— Co się stało?

Zapytany zwrócił na inżyniera obłąkane oczy.

— Toniemy!

Van Boerne oniemiał.

— Jakto: toniemy!?

— Pękł wał — rozumie pan? — i przebił bok okrętu. Za godzinę — reszta słów utonęła w strasliwym hałasie, który się podniósł na widok załogi, przygotowującej łodzi ratunkowe do spuszczenia na wodę.

Fala była silna; najniebezpieczniejsza, bo niezbyt wysoka, ale krótka, o spienionych wierzchołkach.

Van Boerne ujrzał panią Deering; stała na schodach, prowadzących do kajuty telegrafisty i patrzyła niespokojnym wzrokiem na morze.

W jednej chwili był przy niej.

— Proszę siadać do szalupy... — przemówił, chociaż inne, niespokojne i ciche słowa wypełniły mu serce.

Łodzi były już prawie wypełnione, zanim pani Deering doszła do nich; znalazły w nich schronienie wszystkie kobiety i dzieci.

— Jeszcze jedno miejsce — krzyknął marynarz — licząc oczami siedzących w szalupie. — Niech siada mężczyzna!

Fale kołysały śmiertelnie rannym „Pedrem Alvarez” i straszny syk dobiegł z głębi okrętu: woda zalała maszyny.

Przy ostatniej łodzi skupiło się kilkunastu mężczyzn, dla których nie było miejsca w szalupach.

— No — prędzej — niecierpliwił się marynarz. — Jeszcze jedna osoba!

Van Boerne wyjął z kieszeni kilkanaście monet.

— Panowie — niechaj rozstrzyga los! — Kto wyciągnie złotą monetę — zajmie ostatnie miejsce.

Wszyscy wyciągnęli ręce: złota moneta została w dłoni inżyniera.

Pani Deering patrzyła szeroko otwartymi oczyma na tę scenę: a więc Van Boerne był ocalony!! Zbliżał się właśnie do szalupy.

— Za pozwoleniem! — zabrzmiał donośny głos i inżynier odwrócił głowę. Był to Deering.

— Panie Van Boerne! — głos jego brzmiał uroczyście — przypomnia pan sobie naszą rozmowę z przed kilku godzin? Powiedziałem panu, że czasami odwrót jest najlepszy! Cofnij się pan, panie Van Boerne! Oto czek na sto tysięcy funtów...

— Siadać! Siadać! — wołali marynarze.

Van Boerne zawahał się chwilę; silny, nieznajomy dla niego samego głos, wołał w nim przemożnie: żyć! Spojrzał na szalupę: pani Deering miała w oczach ślepą trwogę...

— To jest jej mąż... — pomyślał i w tejże chwili zwrócił się do Deeringa.

— Miejsce należy do pana — powiedział powoli — Niech pan siada...

Wziął błękitny czek i spojrzał: opiewał na sto tysięcy funtów. Łódź opuściła się na fale; Van Boerne podszedł do balustrady i ujrzał, jak wielka fala uniosła ją do góry, wstrząsnęła jak żdźbłem słomy i zalała milionami ton wody.

Serce inżyniera było pełne bolesnego spokoju; wyjął z kieszeni czek, spojrzał jeszcze raz na cyfry i uśmiechnął się do swoich myśli. Był bogaty...

LECE A CZŁOWIEK

"SZKIC • DO • ODCZYTYW"

RYN. E. WIEBZICKI.



już w młodości ciekawie
znaczenie rąk



zmańdaje
trochę inne
zastosowanie



w młodości dochochła, do nosu
miesz znaczenia by wście mocać



lub w czasie
wykolejenia
przyczynić się
do zguby



...winnici 3/.

zresztą bywało wykolejenia rozmaite
wtedy historia zaczyna się od początku.

Akademja detektywów

Zbrodnictwo nigdzie tak potwornych nie przybrała rozmiarów, jak w Ameryce. Okazało się przecież nawet, że i sama policja niesłychane popełnia zbrodnie. Nic tedy dziwnego, że właśnie na tamtej półkuli powstała myśl powołania do życia — „Akademji detektywów”. Prawie jednocześnie założono je w Nowym Jorku i Chicago. Mają one wykształcić nowy typ detektywa, ugruntowany na najdokładniejszej znajomości

z bezprzykładnie drobiazgowych mozołów literalnie dniem i nocą przez cały boży rok. Szanowny cech zbrodniarzy bowiem nie zna dni świątecznych, ani też wywasów. To też przekonano się z biegiem czasu, iż praca detektywów wymaga przede wszystkim ich gruntownego wykształcenia, jeśli ma przyczynić się do osiągnięcia zamierzonego celu.

Detektyw przyszłości musi być naukowo wykształconym i praktycznie wyszkolonym



Najnowsza zdobycz kryminalistyki: fotokomórka, która w chwili zbliżenia się osoby pobudza sygnał alarmowy

wszystkich nowoczesnych zdobyczy naukowych w dziedzinie kryminalistyki.

Szeroki ogół wytworzył sobie zupełnie fałszywe pojęcie o detektywie. Przyczyniła się zaś do tego w głównej mierze lektura różnych romansów w gęście Szereka Holmesa i Wellsa. Przedstawione w nich bowiem postaci niebywale „genjalnych” detektywów istniały, niestety, tylko w — fantazji autorów. Okrutna rzeczywistość wygląda nieco inaczej. Praca nowoczesnego detektywa, zwłaszcza w Ameryce, nie idzie bynajmniej tak gładko, ani tak interesująco, jak w owych romansidłach. Składa się ona — przeciwnie —

fachowcem. Tylko taki bowiem może podołać ogromnie zawilemu zadaniu, jakim w dobie naszej jest wytropienie zbrodni. Stało się ono niem zaś dlatego, że i zbrodniarze zczasem nauczyli się wszelkie zdobyć naukowe wysyskać dla swych podłych celów. Walka z nimi wymaga przeto możliwie jak najdalej idącego prześcigania ich w posługiwaniu się temi zdobyczami. O co tu zaś chodzi, to wynika już z faktu, że na 2000 uczniów nowojorskiej Akademji detektywów przypada — 500 nauczycieli. Oczywiście, że uczniów tej Akademji poddaje się przed ich przyjęciem gruntownym bada-

„Pułapka
na
kłamstwa”



niom co do ich osoby. Zachodzi bowiem obawa, że jakiś wyrafinowany zbrodniarz mógłby wśliznąć się do tej uczelni w celu dokładnego zaznajomienia się z wszystkimi sposobami, używanymi przez policję do wytropienia zbrodni.

Jakże odbywa się nauka w takiej akademii?

Otóż obejmuje ona wielki szereg przedmiotów, jak: ustawodawstwo, medycyna, chemja, psychologia, grafologia, kryminalistyka, ballistyka, a prócz tego mnóstwo innych specjalnych gałęzi naukowych. Jedną z najważniejszych zaś jest nauka o zidentyfikowaniu zbrodniarzy. Należy sobie bowiem uprzytomnić, że władze walczą głównie ze zbrodniarzami zawodowymi, gdyż

wobec przypadkowych są wprost bezbronne. Taki zawodowiec zaś pod względem talentu charakteryzowania się nie ustępuje często i najlepszemu aktorowi. Umie on nawet na swej osobie dokonywać transmutacji, o jakich nie śni się kapłanom Melpomeny. Jest rzeczą dowiedzioną, iż poddaje się także —



Fotografowanie odcisków palców, pozostawionych przez „kłamczy”



Ćwiczenia na „modelu” różnych t. zw. trików zbrodniarzy

zabiegom chirurgicznym, mającym na celu zmianę fizjognomji do niepoznania. Znani są również zbrodniarze, którzy uczą się nowego sposobu — chodzenia, gestykulacji i mówienia, ażeby zmylić policję. Zidentyfikowanie zatem takiego osobnika połączone jest z niezwykle trudnościami.

Niemniej ważnym przedmiotem Akademii jest odgrywająca w kryminalistyce pierwszo-

rzędną rolę t. zw. daktyloskopja, czyli — odciski palców. Już w dawnych wiekach ludy azjatyckie posługiwały się takimi odciskami jako — podpisami na dokumentach. W kryminalistyce zaś wprowadził daktyloskopję w celu identyfikowania zbrodniarzy dopiero w 1901 r. szef policji londyńskiej, Henry. Za jego przykładem poszły czasami policje wszystkich krajów. Dziś zaś istnieje w prezydium policji holenderskiej w Hadze specjalne międzynarodowe biuro, zawierające zbiór odcisków wszystkich zarejestrowanych zbrodniarzy całego świata cywilizowanego. Wystarczy zatem podać temu biurowi telegraficznie ustalone w t. zw. „kluczu” znamiona palców, by w ciągu paru godzin otrzymać dokładny rysopis zbrodniarza. Wyszkolony daktyloskopista bowiem umie wśród tysięcy odcisków rozpoznać w ciągu kilku minut właśnie zażądany odcisk.

Obok daktyloskopji niemałe znaczenie posiada wprowadzona przez paryskiego szefa policji Bertillona metoda rejestrowania — wymiarów ciała zbrodniarzy, a w szczególności formy małżownicy ucha i nosa. Okazało się bowiem, iż sama fotografia nie wystarcza do ostatecznego zidentyfikowania osobnika. Do tych nowych metod władze zmuszone były uciekać się odkad zniesiono istniejący przez długie wieki system — piętnowania zbrodniarzy przez obcinanie im uszu lub nosa, albo też wypalanie na ciele — pieczętek. Ściganie zbrodniarzy było, nawiasem mówiąc, głównym powodem wprowadzenia we wszystkich krajach cywilizowanych — przymusu meldunkowego.

Specjalną gałęzią naukową Akademii detektywów jest dokładne zaznajomienie się z „techniką” poszczególnych zbrodniarzy. Każdy bowiem z nich posługuje się „indywidual-

nym systemem pracy”, który w głównej mierze umożliwia ich wytropienie. Adeptci Akademii detektywów uczą się na miejscu zbrodni z pozostałych śladów „pracy” rozpoznawać, który z zarejestrowanych zbrodniarzy może tu wchodzić w grę.

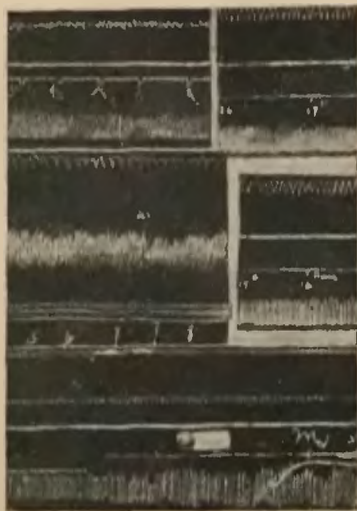
Najciekawszym może z przedmiotów, wykładanych w Akademii detektywów jest nauka o — prawdziwości kryminalistyki. Doświadczenia wykazały mianowicie, że w pewnych odstępach czasu fala zbrodni wzrasta się. Główną zaś rolę odgrywają tu stosunki ekonomiczne. W okresach kryzysu gospodarczego wzrasta cyfra zbrodni. Jest ona, jak stwierdzono, również zależna od — pór roku. Kryminolodzy spodziewają się, iż czasami na podstawie metod statystycznych uda się — przepowiadać zbliżającą się nową falę zbrodni, a tem samem poczynić przygotowania do jej zahamowania.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak kryminalistyka zdołała dla swych celów wyzyskać najróżnorodniejsze zdobycze naukowe. W nowojorskiej Akademii detektywów istnieje cały szereg aparatów, umożliwiających w niezwykle sprytny sposób wysledzenie zawiłych spraw. Jednym z najbardziej interesujących jest aparat używany przy przesłuchiwanie zbrodniarzy. Nosi on znamienne nazwę „Pułapka na kłamstwa”.

Skonstruowany na zasadach psycho - fizjologicznych, aparat ten kreśli — czynność serca i płuc zbrodniarza w czasie przesłuchania. Mimo pozornego spokoju przesłuchiwanego, czuły aparat rejestruje każde reagowanie serca i płuc na zadane zbrodniarzowi pytanie.

W interesujący wreszcie sposób adepci Akademii detektywów uczą się na modelach — poznawać różne t. zw. tricki zbrodniarzy.

B. Szarlitt



Wykreślone przez „pułapkę na kłamstwa” zmiany w czynności serca i płuc



fol. J. Chrzanowski, Warszawa

Pod słońce





fol. Ruan, Warszawa

Błogosławieństwo

Atak grubasów

Słońce splotywało ognistymi kroplami na czoła idących. Rzadkie drzewa od czasu do czasu dostarczały strzępów cienia.

— A to ci spiekotał — stękał Marjan, obcierając chustką spocone skronie.

— Widzisz, Mańka, śmiałeś się z mojej tuszy, a okazuje się, że twoja chudość, nie na wiele ci się przydaje — odpowiedział Juras, grubas ważący netto 117 kilo.

Doszli do szczytu niewielkiego wzgórza, na cienistą werandę podmiejskiej gospody. Widok był dosyć rozległy na szerokie, płami lasów pocięte płaszczyzny. W pobliżu szumiało morze. Ciągnął od niego przyjemny, rzeźwiący przewiew.

— Co za rozkoszny chłodek — cieszył się Marjan, pociągając przez słomkę zimną, zamrożoną lemonjadę.

Do stolika ich zbliżył się Funio Damkielewicz, przesadnie ubrany dandy. Zaczęła się rozmowa na temat panujących upałów, ich oddziaływania na psychikę.

— Przyznam się panom — chwalił się Marjan, — że ja pysznie znoszę gorąco. Podczas mojego pobytu w Afryce, na równiku — chodziłem stale bez kasku...

— Tak, proszę pana — stwierdzał Juras — Mańka świetnie znosi upały tropikalne, tyl-

ko... tutaj, w naszym klimacie potnieje jak mysz już przy kilkunastu stopniach...

— Bardzo przepraszam. To, że podczas dzisiejszej wycieczki parę kropel potu wystąpiło mi na czoło — niczego nie dowodzi. Prawda, panie Funiu?

— Oczywiście... — uprzejmie uśmiechał się Damkielewicz. — Swoją drogą, kłoby przypuszczał, że pan Juras jest taki złośliwy...

— Właśnie — podchwycił Marjan. Przecież powiadają, że ludzie grubi są dobroniuszni i jowialni.

— Ja też wcale nie jestem złośliwy. Mój dowcip jest łagodny, jak sok malinowy.

— W każdym razie jedno jest pewne: znosi pan nadspodziewanie dzisiejszy upał — oświadczył Damkielewicz.

— Zawdzięczam to mojej tuszy. Niech pan tylko zauważy, ile posiadam rezerwy energii i siły vitalnej. — Tu klepnął się Juras po bokach. — To jest kapitał zakładowy. Żelazna rezerwa. W razie potrzeby — mam z czego wydatkować. Naprzykład: przychodzi choroba. Gorączka zżera człowieka. Taka szczapa jak on — wskazał na Mańkę — zamieni się w wyschnięty szkielet o wydrążonych i wydmuchanych ze szpiku



Najmłodszy okaz paryskiego klubu „dwucentnarowców” liczy zaledwie lat 15½, a waży już ponad 200 funtów



*Aktor filmowy, Puffy
uprząca co rano
ćwiczenia gimnastyczne*



*Dwaj „ciężcy” przedstawie-
ciele młodzieży:
12-0 i 11-0 letni bracia,
wążący w sumie
620 funtów*

kościach. Ja — nic podobnego. Stracę 5—10—15, no powiedzmy 20 kilo — mimo to jeszcze nie zamienię się w straszaka na wróble.

— Wypraszam sobie podobne aluzje! — Ty za to wyglądasz jak pękata beczka, nie! jak pękata dynia!...

— A to mi dowcip... najświeższej daty. Szkoda tylko, że był on już mocno oklepamy za króla Ćwieczka. Wogóle — przyzna pan — jest to znamieny objaw, że najwięcej używa się sobie na grubych. Porządna tu-

sza daje pole do popisywania się mniej lub więcej udanymi kawałami, gdy tymczasem nieporównanie lepiej nadają się do tego chudeusze, albo ludzie usiłujący za wszelką cenę utrzymać „linję”. Przecież to jest istna kopalnia śmiechu!

— Cóż zabawniejszego od człowieka, starającego się zapobiec sztucznymi środkami naturalnemu rozwojowi organizmu. Dlaczego się mamy wstydić własnego, zdrowego ciała?... — Ażeby właśnie zmanifestować nasze stanowisko, założyliśmy niedawno klub towarzyski, do którego mogą należeć tylko obywatele, przekraczający dwa centnary wagi. Minimum: sto kilo. Mogę pana zapewnić, że słunki panują w nim nadzwyczaj miłe. Harmonja jest wśród klubowców zupełna. Można

wieć rzec, że gdybyśmy stanowili większość w społeczeństwie — wszystko poszłoby na świecie po drodze spokoju, pogody, humoru, zadowolenia...

*Efektowny grubas z plemienia
Maorytów, który niewątpliwie
mógłby należeć do klubu ludzi
ciężkiej wagi i obfitej tuszy*





*Czołowi członkowie
towarzystwa
„dwucentnarowców”
wraz z ich imponującym
prezesem na czele*

Patefon brzęczał modną melodię tanga: „Co nam zostało z tych lat”... Brzmiało to jakby ironja, wobec zapalów Jurasa.

— Byłoby cudownie — śmiał się Mańka — pomyślcie panowie: dwucentnarowe pary pływające w rytm tanga. On — nie może jej objąć: musiałby mieć półtorametrowe ręce, niby zwoje ljan... Ona — na cienkich wysokich obcasach ledwo utrzymuje się na nogach...

— Głupstwa pleciesz! Nicby obcasy nie przeszkadzały, bo... nikt nie słuchałby głupiej mody, nastałby czas płaskich, elastycznych podeszew...

I tańczyłoby się odpowiedniejsze tańce, w których pływające pary nie potrzebowałyby się przyciskać do siebie, np. mazura, polkę, oberka...



*Typowy wygląd grubasa:
twarz pogodna, jowialna,
dobrotliwa*



*Uroczystość sportowa
paryskiego klubu
„stokilowców”*



Pilota „ciężkiej” wagi

Słowem taniec grubasów — docinał Marjan.
— W każdym razie — zauważył Damkielewicz — musi się pan z tem liczyć, że atak grubasów — już rozpoczęły!

— Grubasy wszystkich krajów łączcie się!
— Chude szczapy — brońcie się, gdyż wypowiadamy wam wojnę! — A teraz — mówił po chwili Juras — proponuję zrobić małą próbę wytrzymałości...

— Wycofuję zgóry swoją kandydaturę. Mam dosyć upału — oponował Marjan, — Stawiam natomiast flaszkę vermouthu, aby dowieść Jurasowi, że i chudzi mają dobry

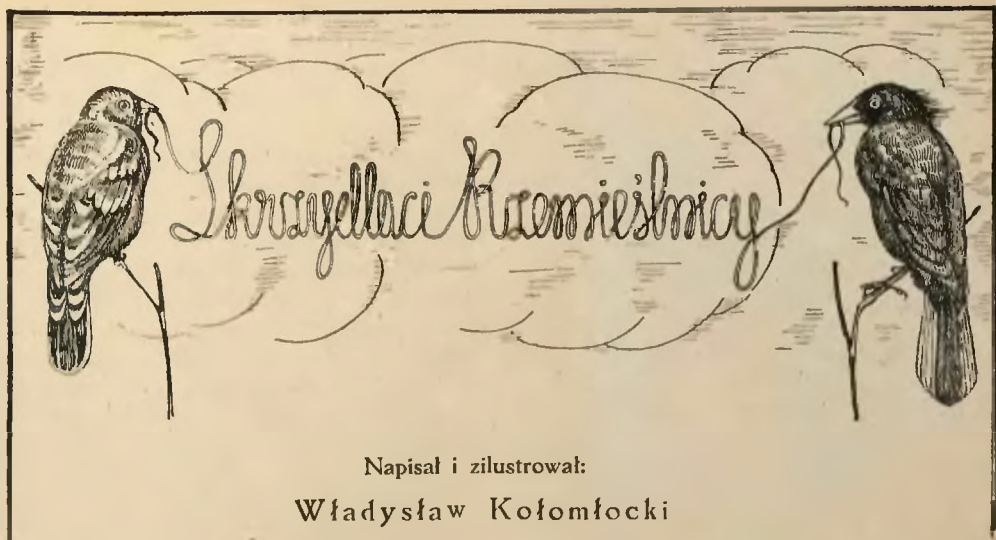
„spust” i że są punkty, na których grubi z chudymi spotykają się zgodnie, bez zastrzeżeń...

Na werandę gospody weszła drobna szczupła blondynka, wyglądająca jak filigranowa laleczka. Juras spojrzał na nią życzliwym okiem i westchnął:

— O! kobietka!...

— „Okazuje się, — konkludował Marjan — że jest jeszcze jeden punkt, na który zgodzimy się wszyscy bez zastrzeżeń, a może nawet — pokłócimy wzajemnie!...

Ran.



Napisał i zilustrował:

Władysław Kołomołocki

„Człowiek z natury rzeczy otoczony jest przyrodą, żyjąc w niej i z niej. Korzysta przecież codziennie z hojnych jej darów... Otacza się zwierzętami i roślinami, używa jednych i drugich do urozmaicenia kulinarnych swych wymagań, odziewa się materiałami, z nich pochodzącymi, a mieszkanie, jakie wytworzył sobie, idąc w postępie kulturalnym naprzód, każdym drobiazgiem swoim myśl jego łączy z temi istotami, których istnienie dopomogło mu do urzeczywistnienia jego zamiarów.

Czyż można się zatem dziwić, że tenże człowiek, mimo, iż, należy do osobnej grupy istot żyjących, dumnie i szumnie „Homo sapiens” się mianującej — identyfikuje często swe czynności z czynnościami zwierząt np.?

Przykładów w mowie potocznej mamy na to niezliczoną moc. Pracowitą gospozię naszą zwiemy „skrzętną mrówką” i „zapobiegliwą pszczołką”, damę w nowoczesnej wiosennej toalecie „barwnym motylem”, niłode dziewczę „figlarną kotką”, „cmy nocne” zaś niewiele przynoszą nam zaszczytu... Ta odznacza się „łabędzią szyją”, inna „słowiczym głosem”, „gibkością gazeli”, „zwinnością sarenki”. Komuś „wilkiem patrzy z oczu”... Jeden ma „chytrość lisa”, drugi „nadyma się jak paw” lub „rozindycza się łatwo”, innego cechuje „lwia odwaga”. Niezgrabnemu dajemy miano „niedzwiadka”, lub „słonia”, mało pojętych porównujemy zresztą niestłusnie z „osłem” i „wołem”, gadatliwych ze „sroka-

mi” i „papugami”... Małomówny „milczy jak ryba”. Zgrabnego człowieka obdarzamy zestawieniami w rodzaju „gibki jak wąż”, „zwinny jak jaszczurka”... Nie lubimy „kruków kraczących i biadających” i ludzi „o ptasim mózgu”. Chcielibyśmy zaś, by wszyscy byli „szpakami karmieni”, „czyści jak lilje” i odznaczający się „psią wiernością”.

Przykładów dałoby się wyszukać więcej, ja na tem poprzestaję.

Jeżeli te i owe własności zwierząt można



Jakież marnie przedstawia się sztuka budownicza kurki wodnej...



Sprytem i pomysłowością odznacza się budowa gniazd remiza z rodziny wróblowatych...

odnieść do człowieka, można też i czynności ich porównać z naszymi. Na porównaniu tem my nie stracimy nic, a zwierzęta zyskają wiele.

Za grupę obserwacyjną weźmiemy sobie ptaki, te skrzydlate stworzenia, których tak nam brakuje w smutne, szare dni zimowe, a które tak umilają gwarem swoim i świergotem wesołym pola nasze, ogrody, łąki i lasy — wiosną i latem. Wśród tej rzeszy wielkiej i rojnej, zaliczonej do typu kręgowców, gdzie znajdziemy i rabusiów cudzego dobra i tegoż dobra skrzętnych i pilnych stróżów — można zauważyć wielu prawdziwych, rzetelnych rzemieślników wszelkich „kunsztów”... Mamy zatem tkaczy, koszykarzy, krawców, garncarzy, murarzy i górników...

Ich rzemiosła odnoszą się do najważniejszej kwestji, jaką im powierzyła natura, do budowy ich gniazd.

Ptaki są, jak wiemy, jajorodne, nie żyworodne, jak ssaki. Jajka muszą wysiedzieć w cieple i spokoju, a gdy się wykłują młode, wtedy często mocno muszą się napracować, zanim doczekają tej pociechy, że ich pisklęta podrosną i same zaczną na siebie „zarabiać”.

Tu się zaczyna troska i główne zmartwienie

ptasich rodziców. Gdy chodzi o nich samych, to furda... mogą być i żyć, gdzie się da. Świat szeroki. Ale młode, wysiadanie jajek, to się nie da jak bądź i gdziekolwiek przeprowadzić... A ptaki mają serca i miłość macierzyńska jest u nich nierównie często silniejsza, niż u ludzi. Jedna kukułka jest tylko macochą dla swych młodych, ale uderzmy się w piersi — ile takich kukulek jest wśród ludzi, zwłaszcza obecnie?... I w tym celu budują sobie ptaki gniazda, różne, zależnie od gatunku i wszędzie, gdziekolwiek żyją, zależnie od warunków, w jakich żyją. Kto widział gniazdko kury w wygrzebanym dołku wśród trocin i śmieci, a gniazdko jaskółki, kunsztownie ulepione z gliny, ten wie, że mogą być ładne, albo zupełnie do niczego. To wszystko zależy od sposobu życia, oraz od rozwoju młodych.

To są dwie grupy ptaków, jakie znamy na ziemi. Takie, jak kura, kaczka i t. p. gotowe zaraz po wykluciu się z jajek do samoistnego życia poza gniazdkiem, zwą się zagniazdnikami, takie zaś, jak jaskółka, wróbel, wrona i t. p., które muszą karmić rodzice, zwą się gniazdnikami, lub gniazdownikami.

...Nie zasługuje też na miano rzemieślnika nasza kura domowa, paw, indyk, bażant, kuropatwa, przepiórka, cietrzew i głuszc. Jakież marnie przedstawia się sztuka budownicza choćby kurki wodnej, która zebrawszy kępę trzcin i szuwarów, w dołku przez nie wyścielonym — znosi swe zielono-nakrapiane jajka.

Wobec tego zwrócimy się do tych ptaków, które mają już od natury dany instynkt budowniczy i są bez ironji prawdziwymi rzemieślnikami w swoim fachu.

Najczęściej spotykamy się z *tkaczami*. Należą do nich prawie wszystkie małe ptaki śpiewające. Tkają sobie one osiedle mistrne, jakby dla pokazania światu, że „w małym ciele wielki duch”. Któż nie zna Wilgi (*Oriolus oriolus*), zapowiadającej deszcz donośnym głosem?... Żłocisto-żółty ten ptak w rozwidleniu gałęzi drzew spleta z włókien roślinnych i traw sieć misterną, poczem ciężarem własnym wydraża w środku zagłębienie, które powiększa, doplatając z pod spodu i z boku nowe nitki, oraz wzmacniając je wiórami i lykiem. Tworzy się w ten sposób zgrabna kołyska, wyścielona delikatnymi piórkami i puchem...

Nasz malutki Mysikrólik (*Regulus regulus*), — wikła sobie z włókienek małą kulkę, tak do siebie podobną, że gdy stoi obok gniazdka, zda się nam, że widzimy dwie kulki różnej wielkości.

Sprytem i pomysłowością odznacza się Remiz (*Parus pendulinus*) z rodziny wróblowatych. Królestwem jego są okolice silnie nawodnione, jeziora i sławy. Gniazdko swe zawieszca na końcu delikatnych gałązek drzew, rosnących tuż nad wodami. Ma ono wygląd woreczka 20 cm. długości, kształt zaś regularnego kłębka nici, lub waty. Otwór do tego cudu, wyczynionego z puchu, nasion, sierści i włókien prowadzi z boku. W tem gniazdku siedzi ptaszek, jak u Pana Boga za piecem. Kuna, lub kot, nie pokuszą się nigdy o napasć na siedzibę remiza. Wiedzą dobrze, że kruche gałązki nie utrzymają ich ciężaru, a wpadnięcie do wody... brr! — to do przyjemności nie należy. Podobne gniazdo ma też Strzyżyk wole oczko (*Troglodytes troglodytes*) z tą różnicą jeno, iż nie nad wodami je tka, ale w gąszczu drzew i krzewów.

Wikłacz (*Ploceus*), żyjący w Afryce środkowej, przedziwny tkacz przyrody, buduje gniazdko na sposób remizów tuż nad wodami. Aby utrudnić przystęp wrogom, nie tylko urządził otwór do nich od spodu, ale w ścian-



Baltimore amerykańskie używają do budowy gniazd... nici..., które kradną gospodiniom...

ki budowy wbija liczne kolce cierniste, na których rani się boleśnie wszelki nieproszony gość i przed czasem rezygnuje z wizyty.

Wodnym tkaczem naszym jest Trzciniak (*Turdus arundinaceus*), ptaszek dowcipny na swój sposób. Ten gniazda swoje umieszcza na liściach i łodygach trzciny, z czego otrzymał swą nazwę. Ponieważ często w czasie przyborów woda podnosi się wysoko, grożąc zalaniem gniazdu, mądra ptaszyna zabezpiecza się przed tym bądź co bądź nieprzyjemnym wypadkiem. Już w czasie budowy nasadza je niejako na trzciny. Każdej chwili, gdy tylko woda się podnosi, trzciniak wylatuje z gniazda i przy pomocy skrzydełek i dzióbka posuwa je po trzcinie wyżej, tak, że woda mimo przyboru dosięgnąć go nie może.

Doskonałymi tkaczami są nasze Sikorki, nie ustępują im zaś Zięby (*Fringilla*) i Czyżyki (*Carduelis spinus*).

Oryginalnym tkaczem jest Wróbel afrykański (*Philetaerus socius*), żyjący kolonialnie (patrz: „Republika wróbli” w Nr. 15 „Naokoło Świata”), albowiem tworzy „viribus unitis” pod wspólnym dachem umieszczone olbrzymie „miasto gniazd”. Pracę ma kolosalną, ale bezpieczeństwo zapewnione, o to zaś przedewszystkiem chodzi.



Do stogów siana podobne są osiedla tkacza towarzyskiego z Afryki...

Podobnie wspólne gniazda, do stogów siano budową zbliżone, buduje Tkacz towarzyski z Afryki. Dzieła obu wyżej wymienionych ptaków wskazują jasno na to, do czego doprowadzić może wspólna praca i wspólny wysiłek.

Baltimory (*Icterus baltimorensis*) amerykańskie nie zadawalają się przy budowie swych gniazd temi materiałami, które znajdują w przyrodzie. Gnieźdząc się w pobliżu osad ludzkich, plasim swym mózgiem wykombinowały zapewne, że rzeczy, wyrabiane przez ludzi, są lepsze i silniejsze. Używają też do budowy swych gniazd nici, które kradną gospośiom, jak nasze sroki świecidełka, skąd i jak się tylko da. Nie wahają się nawet wlatywać po ten „materiał” do otwartych mieszkań... Na olbrzymich drzewach Ameryki północnej osiedla się inny tkacz, zwany Szapu (*Ostinops cristata*). Gniazda tego ptaka, 1½ m. długości, przypominają worki. Budowane tak silnie, że potargać ich nie można, są jednocześnie lekkie, jak piórka, tak, że w razie silnego wiatru, jak huślawki kołyszą się w takt z koroną drzew, co daje oryginalny w swoim rodzaju widok.

Kolibry, te klejnoty ptasie, drobne, a lśniąco, nie tylko są miłe naszemu oku, ale mają też jako tkacze reputację ustaloną.

Koszykarzy wśród ptaków jest już znacznie mniej, niż tkaczy, stanowią jednak garść sporą. Rzemieślnikami są gorszymi, jako, że koszykarstwo jest rzemiosłem podrzędniejszym. Ich budowy przypominają nam nieco płoty chruściane, okalające sadyby wiejskie na Podkarpaciu.

Przeplatane wzajemnie większe i mniejsze gałęzie i gałązki tworzą okrąg w rodzaju ochronnego wału, zamykającego w środku dość płytkie zagłębienie, wyścielone liśćmi, puchem, piórami i włosiem. Tam siedzą młode „sud love”, nie ochronione zbyt. Gniazdo jest prawdziwym koszykiem, mniejszym, lub większym, zależnie od gatunku ptaka.

Rzuca się nam w oczy mała ich obronność. Nic dziwnego, tej tu nie potrzeba. Po pierwsze gniazda takie budują wszystkie ptaki drapieżne, poza tem zaś ptaki duże, mocne. Obawa przed nieprzyjaciółmi jest bardzo mała, wiadomo bowiem, że słabszy zawsze jest w gorszej pozycji. Po drugie gniazda te budowane są przeważnie na miejscach niedostępnym, dzikich i odludnych, gdzie wizyta jest ogromnie utrudniona.

Na niebotycznych szczytach górskich ścielę swe gniazdo Orzeł... „Król ptaków”, Sokół, Sęp, Kondor, na wierzchołkach drzew: Jastrząb, Myszolów, Kobuz, Krogulec, Bocian. W konarach drzew: Sroka, Kruk, Gawron, Czapla, Żoraw i t. p. Gdzieś w załomach skał, starych wieżycach, w grotach i dzwonnicach wysokich gnieźdzą się Puhacze i przeróżne gatunki Sów... Kłóż je tam z wyjątkiem ludzi — ścigać będzie?...

Sprytne były niektóre tkacze, nie można jednak i koszykarzom sprytu odnieść. Wiadomo nam dobrze, że sroka, ptak z rzędu krukowatych, jest potężnym złodziejem i rabusiem. Nietylko bowiem, że kradnie to wszystko, co się świeci, bezczelnie pładując obok domów mieszkalnych, a o ile niema właściciela i w samym domu nawet, ale dobiera się do gniazd ptasich i kurników, zabijając młode i rozbijając jaja, które ze specjalnem zamiłowaniem wypija. Jest zatem łęgim szkodnikiem. Ludzie nie bardzo jej są radzi, mimo, iż jak chce lud... „siadając na płocie — gości zapowiada”. (A może właśnie dlatego!). Nic dziwnego też, że o ile spostrzeżę gniazdo sroki, walą w nie kamieniami, a nieraz palą z dubeltówek, starając się je zniszczyć. Sprytna sroka wie o tem dobrze, to też wszystkie jej gniazda, umieszczone w pobliżu domostw, są budowane i trwale i silnie, często przykryte dla ochrony dachem z gałęzi i mułu. Kilka razy nawet spotkano w gniazdach tych pancierz ochronny z odpadków żelaznych, blachy i drutów. Jest przylem rzeczą godną uwagi, że sroki, mieszkające w gęstwinach leśnych, nigdy takich nadzwyczajnych zabezpieczeń nie mają.

Grupa krawców jest bardzo nieliczna, prawdopodobnie dlatego, ponieważ rzemiosło to jest trudne, wymaga bowiem kolosalnego sprytu. Szyć przy pomocy rąk nie jest rzeczą zbyt łatwą, a cóż dopiero, gdy czynność tę spełniać trzeba dzióbkiem. To też u nas krawcy przedstawiciela swego nie mają. Musimy ich szukać w Ameryce i Azji. W Azji południowej mieszka mały ptak, zwany Krawczykiem (*Orthotomus sutorius*). Stworzonko to oryginalnie tworzy sobie gniazdko. Oto w bujnym gęstwie wyszukuje kilka liści, obok siebie rosnących, nakłuwa brzegi ich swoim dzióbkiem, poczem przez otworki te przesuwa zgrabnie włókna długie i mocne. Zawieszony w powietrzu i utrzymujący się dzięki miarowym uderzeniom skrzydełek,



Krawczyk azjatycki... gniazdko swoje zezrywa z kilku listeczków...

spełnia tę czynność tak długo, poki nie spoi listków w jedną całość, tworząc spory woreczek. Woreczek ten wypełnia puchem, włosiem i sierścią i kolebka dla młodych gotowa. Ma ona jeszcze i tę właściwość, że kolorem niczem się nie różni od otoczenia, tem bardziej, że liście po tej operacji nie schną, ale zatrzymują, żyjąc, swą barwę. W ten sposób urządza się amerykański Krawczyk i tamże żyjąca Pásówka.

Murarze stanowią grupę osobną. Są to rzemieślnicy poważni, szanowni, architekci w każdym calu, którzy do swych dzieł używają solidnego materiału. Znamy wszyscy Jaskółkę (*Hirundo*), która trzyma się w pobliżu mieszkań, wiedząc, że będzie zawsze mile widziana i witana. Jaskółka obiera sobie miejsce pod strzechą, lub dachem domu i tam w dziobku swym znosi muł, błoto i żdźbła, co wszystko zmieszane ze śliną — tworzy pierwszorzędną zaprawę murarską. Ta jest materiałem na budowę gniazda, wyglądającego na koszyk półokrągły, a czasem nawet półkolisty. Na zewnątrz jest ono szorstkie, na wystających kawałkach jaskółka zawiesza się, karmiąc młode. Wewnątrz jest jednak wyścielone bardzo miękko i ciepło. Jeszcze ciekawsza jest bliska krewna naszego murarzyka.. — Sa-

langana (*Collocalia*), jaskółka, gnieźdząca się na ścianach skalnych nadmorskich Oceanu Indyjskiego, na wyspach Sundajskich i Moluckich. Ta muruje swe gniazda z części roślinnych, zmieszanych z masą, wydzielaną przez gruczoły wola. Ciecz ta, stygnąca na powietrzu, ciągnie się, jak guma arabska, jest lekka, jak pianka, ale ogromnie wytrzymała. Gniazdo salangany waży tylko 10 gr. a jednak wychowuje przez lata całe pokolenia jaskółek.

W jadłospisach chińskich dygnitarzy gniazda salangan figurują, jako przysmak wielce pożądany i specjalność smakoszków. Wytworzył się tedy nolens-volens wśród mieszkańców wybrzeży Dalekiego Wschodu specjalny cech zbieraczy gniazd jaskółczych. Zawód to ogromnie niebezpieczny, bowiem śmiałek musi się opuszczać na linie kilkudziesięciometrowej i wisząc nad przepaścią — zbierać gniazda do worka, na ten cel u boku przymocowanego. Ale, zmieniając tekst znanej piosenki, musi się powiedzieć: „Dla chleba, panie, dla chleba i tak pracować trzeba!”

Całkiem oryginalnym murarzem jest mały Garniarz (*Furnarius rufus*), żyjący w Ameryce południowej. Ten urządza się odmiennie od jaskółki. Wybiera sobie grubą gałąź i znosząc na jej powierzchnię glinę, ulepia z niej coś, co przypomina garnek obrócony dnem



Jaskółka salangana gnieździ się na ścianach skalnych nadmorskich Oceanu Indyjskiego...



Oryginalnym murarzem jest Garnarz, żyjący w Ameryce południowej...

do góry, lub miniaturowy piec piekarskiego. Cała budowa ma 15—18 cm. wysokości, a wewnątrz podzielona jest na dwie komory. Jedną przeznaczoną jest na sypialnię dla gospodarza, druga jest pokojem „dziecinny”. Tu już widzimy komfort. I nic dziwnego, przecież to Ameryka, gdzie, jak z tego wnioskować należy, nie tylko ludzie, ale i ptaki umieją się wygodnie urządzać.

W południowej Azji żyje sobie płaszek, zwany Klecho (*Dendrochelidon longipennis*), który z podobnej masy, jak salangana — lepi gniazda, o tyle oryginalne, że w stosunku do jego budowy odznaczają się niezwykle drobnymi rozmiarami. Rzecz prosta, że na takim gniazdku nie może ptak wysiadywać jajek, bo jedno tylko w tej małej łyzeczce się zmieści. Urządza się zatem w ten sposób, że siada po zniesieniu jajek na gałęzi, a przykrywając częścią swego ciała mikroskopijne gniazdo — dostarcza młodemu zarodkowi odpowiedniej ilości ciepła.

Na ostatku wreszcie idą Górnicy, stanowiący małą, ale ciekawą gromadkę. Tym nie wystarczają drzewa i krzewy, są bowiem zdania, że wtedy tylko czuć się można zupełnie bezpiecznie, gdy schroni się w głąb ziemi. Mają po części rację. To też pracując ciężko nieraz kilka tygodni, wiercą długie chodniki w ziemi i zakończone je komorami, w których składają jajka i wysiadują młode.

Górnikiem jest w pierwszym rzędzie nasza Jaskółka brzegówka (*Hirundo riparia*). Ta zwykle wkopuje się w brzegi potoków, jarów i jezior, składające się z gliny miękkiej — korytarzami na 1/2 m. głębokości. Ponieważ jest to ptak towarzyski, ściana parowu, mieszcząca setki gniazdek, wygląda w zupełności, jak sito.

Drugim górnikiem bardzo poważnym jest Zimorodek (*Alcedo ispida*), ten najbarwniejszy z naszych ptaków krajowych, złodziej ryb słodkowodnych. Jego gniazdo wkopane jest silniej, bo do głębokości 1 metra i prócz głównego korytarza, posiada jeszcze osobny rowek, służący do odprowadzania wody, nagromadzającej się w czasie długotrwałych deszczów.

W głównych zarysach takby się przedstawiała sprawa rzemiosła u ptaków. Na zakończenie jeszcze o jedną kwestję zacząć należy. Wielu uczonych, obserwujących życie i czynności zwierząt, twierdzi stanowczo, że pomiędzy nimi, a człowiekiem nie da się przeprowadzić żadnej analogii. Zwierzęta mają instynkt, ludzie posiadają rozum. Jedno jest czemś zgola odmiennym od drugiego. To jest po części prawda i przeciwko temu nikt na serjo oponować nie zamyśla. Boć rozumiemy to dobrze, że ptaki budowały w ten, lub inny sposób swoje osiedla tak samo w czasach przedhistorycznych, jak budują je obecnie. Nie wprowadzają żadnych ulepszeń, żadnych zmian. Są konserwatywne aż do przesady... Z ludźmi rzecz jest inna. Robota ręczna była od czasów Adama i Ewy stale ulepszana i zmieniana.

Ale czy przez to rzemiosło zmieniło się cośkolwiek?... Krawiec za czasów Fenicji, Asyrii, czy Egiptu tak samo był krawcem, jak jest nim dziś twórca najnowszych kreacji mody paryskich. Szewc, szyjący postępy i sandały faraonom i cesarzom rzymskim, był tak samo szewcem, jak jest nim dziś każdy twórca choćby lakierowanych i przedziwnych w swojej kunsztowności pantofelków. Rzemiosło nie zmieniło się, zmienił się tylko sposób jego wykonywania.

Zatem nic nie stoi na przeszkodzie temu, byśmy mogli nasze pocziwe ptaki, szyjące, tkające, murujące i kopiące swoje gniazdko na czasowy, czy stały pobyt, porównać z naszymi mistrzami różnych fachów i obdarzyć je zaszczytnym mianem „skrzydlatych rzemieślników”...

Szkola derwiszów

Od najdawniejszych czasów taniec odgrywał dominującą rolę w dziejach ludzkości. Był on uplastycznieniem wewnętrznych afektów pierwotnego człowieka — inaczej sztuką, emanującą szereg przeżyć i myśli w widocznej dla ogółu formie. Dlatego, jak to widzimy u ludów najpierwotniejszych, taniec jest, poza prymitywną rzeźbą, jedyną uprawianą sztuką. Pelen symbolów, ilustrujących wierzenia i zwyczaje, zastępuje niejako literaturę, opowiadając o tem samym co pieśń i legenda. Im bardziej kultura postępuje naprzód i różnicuje rozmaite rodzaje sztuki, tem szczuplejszy staje się zakres tańca, który, ze sztuki, przeradza się w formę obrzędu religijnego.

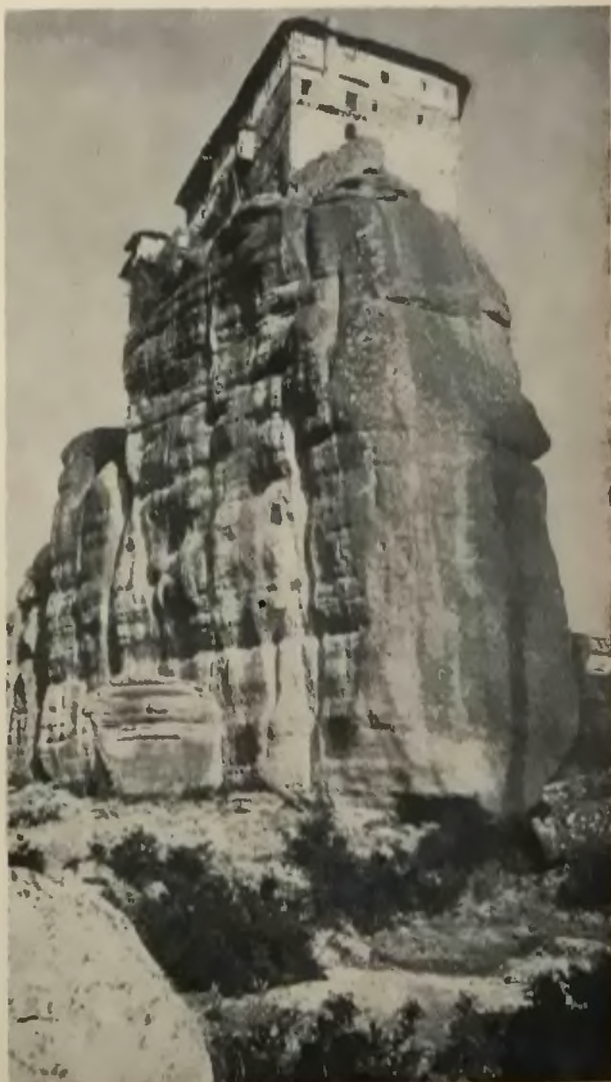
We wszystkich religjach wszelkich czasów i ludów taniec był integralną, bodaj, że najważniejszą częścią uroczystości, związanych z kultem. W tej formie dotrwał do naszych czasów na dalekim Wschodzie, wyspach Archipelagu, Australji i ocalałych dziewiczych zakątkach amerykańskiego kontynentu.

W Europie i na muzułmańskich brzegach Lewantu jedyny rodzaj tańca religijnego, uprawianego dotychczas — to taniec derwiszów. Nie jest on, w założeniu, okultystyczną formą wtajemniczenia w najgłębsze zagadki i prawdy bytu, ale czemś pokrewnem: ekstatycznym oderwaniem ducha przez wyzwolenie się z powłoki cielesnej.

Cały szereg średniowiecznych ascetów i nowoczesnych praktykantów systemu Jogi dąży do tego samego celu najrozmaitszemi drogami. Pierwsi — przez umartwianie i persekucję własnego ciała, ostatni — koncentracją i wypróbowaniami, narzuconemi przez doświadczonych poprzedników ćwiczeniami. Jedynie derwisze, ogarnięci fanatycznym szaleem podniecenia religijnego, wyzwalają się w indywidualnym i bezpośrednim porywie ekstatycznego tańca.

Ukryty wśród pustynnych wzgórz południowej Serbji klasztor derwiszów Tekeh jest jednym z największych i najsłynniejszych ośrodków życia ascetycznego Muzułmanów. W nim to kształcą się młodzież i przygotowują zastępy późniejszych fanatyków.

Widok szkoły pozostawia niezatarte wrażenie. Wychudzone ciała zdają się unosić, niby medjalne materializacje, w powietrzu nasyconem parą odurzających wyziewów. Z lekkiej mgły raz po raz wychyla się jakaś



Klasztor derwiszów

twarz, wysubtelniona postem, płynie ku górze i niknie. A inna, tuż za nią — ściga ją z otwartymi ustami, krzycząc coś milczącego w przestrzeń. Spodem zaś — kłęb nóg w podrygach spazmatycznych, niby gniazdo wijących się węzłów.

Na uboczu stary tamburzysta wybiją monotony rytm na swoim instrumencie. Pozornie obojętny, nic nie znaczący, wprowadza w ruch owe ciała, powierzone swej pieczy, podnieca i uspokaja, kieruje nimi i rządzi. Silniejsze przywarcie palców lub dłuższa przerwa pomiędzy jednym uderzeniem a dru-

giem sprawia cuda: kandydaci na derwiszów wpadają w szal, wirują, podniecają się niesamowitymi skokami a często niejedyn omdlewa, padając jak kłoda na maty.

Łzba, przesycona odurzającymi oparami wywarów i emanacją wibrujących energii, staje się czemś niesamowitem. Nawet postronnego widza ogarnia stopniowo łępe otumanienie i niezrozumiała, nie dająca się opanować chęć



podrygiwania w rytm tamburina. Nogi nie mogą ustać a ciało chwieje się, zniewolone taneczną tęsknotą. Lecz kto by uległ raz temu głosowi — nie wróciłby już nigdy. Porwany ekstatycznym szaleńcem począłby płasnąć, wyzwalając swojego ducha i stałby się jednym z nich — na zawsze.

Ciekawsze jeszcze i groźną prawdziwą prze-

*U góry: dwaj
derwisze w czasie
osobliwych
praktyk*

*Narzędzia tortur,
służące do
dowiadczania
ciała podczas
transu.*





*Wręczenie
przyborów
każni
„wtajemniczo-
nemu”*



*Mistrz
podezas
transu*



*Derwisze
w odrętwieniu
somnambuliczem*

mujące są popisy derwiszów podczas „Święta Prochu” w Maroku.

Wśród skalistej pustyni zgromadzają się niezliczone tłumy i rozbijają biwaki. Po jakimś czasie milcząca równina napelnia się gwarem i niby oaza pokrywa się motylami burnusów. W blasku rozjarzonej zorzy wieczoru wystrzelają płomienne fontanny ognisk. Ściemnia się coraz bardziej, noc ciepła zawisa ponad głowami a pustynia, powleczone głosami ludzkimi, szumi w tym mroku jak morze.

W świetle ognistych pochodni ściągają tłumy na jedno miejsce. Pośrodku nich Ulem,

jak ptak rozpościera skrzydła wielkiego burnusu. Zawodzi inkantację czysty i melodyjny głos. A dołem — morze ludzkie wsłuchuje się w milczeniu i jak pienne fale wali się białym pokolem na ziemię, by znów się spię-

trzyć po chwili. Grzmot westchnienia prze-wala się pośród leżących i głuchym recita-tiwem towarzyszy pieśni Ulema

Potem pokazują swe sztuki derwisze. Tań-czą oszłomieni i porywają wraz z sobą pa-trzących. Koło widzów zaczyna poruszać no-gami i drgać w takt tępych odgłosów bębna, a z rozchylnych ust wyrwa się dzikie wy-cie, niby zew szakali, rozlegając się po pu-styni. Koło tańczących drga spazmatycznie nogami i w górę rzuca ręce, a derwisze, w naj-wyższej ekstazie upojenia, dręczą swe ciała cudami.

Tu któryś przechadza się bosemi stopami

po rozżarzonych węglach, inny łyka ogień i tchem płomiennym zapala przygotowane lucztywo. W dalszej grupie dwóch ascetów przebijają sobie nagie ciała mieczem a inny, niby jeź, przechadza się nadziany sztyletami.

Wszystko to w blasku migotających ogni, pod takt monotonnego rytmu, wybijanego na tamburinach i dzikich okrzyków połączonych z przerażającym wyciem wydaje się jakimś męczącym snem i gorączkową zjawą. Zatraca się poczucie rzeczywistości; rozumne wydaje się bezsensem, a rzeczy najbardziej niespodziewane — najnaturalniejszymi się stają.

Kulminacyjnym punktem jest uroczystość prochu. Najwyżsi dostojnicy otaczają murem ciał miejsce ceremonii i zawodzą przeciągłą pieśń. Koło derwiszów tańczy, a w samym środku, na kamiennym wyźłobieniu skrywającym pod sobą nabój, kładzie głowę fanatyk. Drugi przystępuje do niego i zaczyna mu tłuc kamiennym młotem głowę. Krew ścieka i z głowy powstaje bezkształtna masa.

Wtedy jeden z kapłanów zapala proch, złożony pod kamieniem. Następuje wybuch, a derwisz-fanatyk, staniając się, wstaje nie naruszony na ciele i silnie wzmocniony duchem.

Radość ogarnia tłumy i krzyk napełnia powietrze. Biegają ku miejscu ofiary, ściskają się, krzyczą i obcałowują jedni drugim policzki. Zapomniano już dokazujących cuda derwiszów, tańca i ogarniającego ich szalu, wszystko zlewa się w jeden wybuch radości.

Zbierają się u stóp wzgórza a Ulem, rozłaczając skrzydła bielejącego burnusu, wdrapuje się na szczyt i czystym, jak woda źródłana głosem, zaczyna inkantacje. Morze postaci

chyli się i wyprostowuje zpowrotem, powtarzając sakralne wersety koranu. Powietrze, coraz przezroczystsze, barwi wschód zorzą, rozpalając się ponad daleką Mekką. Wszystkie głowy zwracają się ku niej a czoła dotykają piasku.

Na horyzoncie wypływa oko słońca, ogarniając promiennem wejrzeniem ten tłum, rozkołysany i wierny, czcząc Boga może tak dziko, jak nikt — ale też jak nikt ślepo, fanatycznie i mocno.

Derwisze zaś wracają do swych klasztorów i szkół, by dalej w szale i spazmach wyzwalającego się z ciała ducha przygotowywać drogę do wyzwolenia duchowego. Będą znów więc się i tańczyć, chodzić po rozżarzonych węglach i łykać żywy płomień, przebijając się mieczami i głowę kłaść pod młotem, aż powoła ich Pan, kryjąc wzgardzone ciała białą kopułą marabutów. I wtedy dopiero, gdy duch rozłączy się z doczesną powłoką, przeleje w nią swoją moc cudu a tłumy, żądne uzdrowienia i łaski, z najdalszych stron będą pielgrzymować do tych najświętszych wśród ludzi, którzy pogardzili za życia ciałem, aby po śmierci — przeistoczone w czynieniu dobra — zmartwychwstało.

Na tem polega sens praktyk i głęboka wiara tych fanatyków, którzy oddają na udęczenie swe ciało, by podnieść je do wyższego szczebla i uczynić symbolem prawa wiecznego doskonalenia się form. W tem miejscu zwykły mahometański derwisz schodzi się z chrześcijańskim męczennikiem, Jogą i teozofem, poświęcającym swe życie zagadkom wielkich prawd, rządzących nami i światem.

A. Zagórna

Szkice psychologiczne



Z. Jurkowski

Bujna imaginacja zazdrośnika

**!!Wprowadzamy dział grafologii
dla naszych czytelników!!**

Grafologia — najlepszy doradca

Ta ciekawa gałąź wiedzy sięga swym początkiem końca wieków średnich. Jej bogata dziś literatura rodzi się już w wieku piętnastym. Jednakże zasadniczy zwrot w rozwoju grafologii przyniósł dopiero koniec wieku dziewiętnastego, kiedy to francuski opat Michon ujął tę gałąź wiedzy w konkretne formy, nadał właściwy kierunek i miano.

Od tego czasu mimo macosze traktowanie ze strony dyletantów i nadużywanie przez szarlatanów, zrobiła grafologia ogromne postępy. Dziś obejmuje ona wszystkie dziedziny życia społecznego i życia jednostki. Pedagog, sędzia, lekarz, filantrop, kapłan, finansista a nawet historyk, znajdą w niej doświadczonego doradcę i przyjaciela. Rodzice, pracodawcy i narzeczeni mogą jej powierzyć śmiało swe troski.

Że jednak gołosłowne twierdzenia nikogo przekonać nie mogą, postanowiliśmy wznowić w „Naokoło Świata” dział grafologiczny. Aby dać możliwość jak najszerszemu ogółowi zbliżenia się do grafologii i osobistego przekonania się o jej wartości w zastosowaniu praktycznym, wprowadzamy ten dział *bezpłatnie*, już w następnym numerze wydawnictwa.

Dla należytego, względnie użytecznego korzystania z usług grafologii, należy przestrzec następujących przepisów:

- 1) rękopis winien zawierać co najmniej 2—3 stron pisma;
- 2) winien być skreślony z jak największą swobodą, a nawet niedbale;

- 3) winien być skreślony piórem, a koperta adresowana odręcznie;
- 4) winien być opatrzony własnym, swobodnym i naturalnym podpisem. Podpis „robiony” musi w konsekwencji spowodować fałszywą a skutkiem tego niekompletną i niemiarodajną ocenę charakteru;
- 5) rzucić kilka cyfr w dowolnym układzie;
- 6) rękopis zaopatrzyć w pseudonim, pod którym będzie zamieszczona odpowiedź. Odpowiedzi będą zamieszczane na łamach „Naokoło Świata” i to w porządku chronologicznym;
- 7) rękopis jest co do treści obojętny, nie należy jednak przepisywać treści z książek lub gazet, ze względu na zasadnicze znaczenie indywidualnej „koncepcji” *technicznej*.

Rękopisy, nie odpowiadające tym warunkom, nie będą podlegały ocenie.

Uczestnicy działu grafologicznego w „Naokoło Świata” są proszeni o nadsyłanie pisemnej, rzeczowej krytyki, odnośnie otrzymanej oceny ich charakteru.

Do korzystania z działu grafologii upoważnione są osoby nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (strona ogłoszeń), a mianowicie *prawy dolny jej róg*.

Korespondencję dotyczącą spraw grafologii, należy adresować: Redakcja „Naokoło Świata”, Warszawa, ul. Zgoda Nr. 12, z dopiskiem: „Dział grafologii”.



fot. Dorys, Warszawa

Egzaltacja



tot. Dorys, Warszawa

Obłąd

W GOŚCINIE CHINCZYKA

opisał: Mi-Hao-De.
ilustrował: L. Bocianowski.

Co kraj, to obyczaj... I inne, aniżeli u nas obyczaje panują w odległym od nas o kilkanaście tysięcy kilometrów kraju skośnookich Chińczyków.

*

Pan Po Tai-li urządza przyjęcie. Na czerwonej karcie rozsyła przez służących zaproszenia:

*

*Z największą troską wybrałem sobie
dzień trzeciego miesiąca, aby przy-
prowadzić do porządku maty i wy-
myć dzbany do wina.*

*Pokornie oczekuję Pańskiej odpo-
wiedzi.*

Po Tai-li zaprasza, pozdrawiając.

白
大
李

W odpowiedzi, w razie zgody, otrzymuje kartę wizytową z uwagą: „Oznaczonego dnia wstąpię, aby Panu przeszkodzić”. W przeddzień przyjęcia, dla dokładnego oznaczenia godziny posiłku, wysyła jeszcze dodatkowe zaproszenia: „Jutro w południe przygotuję dzbany do wina i zapraszam, pozdrawiając”.

Gość zjawia się o oznaczonej porze. Wprowadzony do salonu, składa głęboki ukłon przed gospodarzem, wręczając mu oburącz zaproszeniową kartę, którą odbiera z rąk swego służącego. Gość zajmuje miejsce, poczem odzywa się w te słowa: „Pańskie uprzejme wezwanie, abym Pana odwiedził, jest dla mnie istotnie nader



...składa głęboki ukłon przed gospodarzem...

wzruszające". Na co gospodarz odpowiada: „Nie śmiem słuchać słów Pana! Szczęśliwy jestem, że goszczę Pańską wspaniałą osobę". Goście piją herbatę, poczem przechodzą do jadalni. „Najznakomitszy" z pośród zaproszonych, czyli t. zw. „główny" gość, prosi pozostałych, by szli naprzód, czemu mniej „znakomici" goście opierają się, mówiąc: „Jakżeż możemy się na to odważyć!"

Podniósłszy ręce, gospodarz zwraca się do głównego gościa, aby zechciał zająć zaszczytne miejsce przy stole. Stojący obok służący trzyma na tacy pałeczki do jedzenia i czarkę do wina. Gość, naturalnie, odmawia: „Proszę jednego z Panów o zajęcie tego miejsca! ". Następuje drugie wezwanie, po którym gospodarz zdejmuję z tacy

czarkę do wina, podnosi ją oburącz na wysokość nosa, stawia ją na miejscu, przeznaczonem dla „pierwszego" gościa i znów podnosi ręce. Gość wciąż się opiera: „Nie śmiem przyjąć tego", na co gospodarz odpowiada: „Pan nie powinien być taki skromny!", — „Nie, ja tego nie mogę przyjąć, pod żadnym pozorem, są przecież jeszcze inni, godniejsi odemnie, goście". — „Nie, nikt nie może równać się z Panem!". Pan domu zdejmuję wówczas z tacy pałeczki, które ma jeść gość, i kładzie je na stole obok filiżanki, za który to zaszczyt gość wyraża podziękowanie przez podniesienie rąk. Gospodarz poprawia poduszeczkę do siedzenia,



...podniósłszy ręce, gospodarz zwraca się do gości...



...mniej znakomity gość opiera się...

strzepuje kurz ze stołu: gość dziękuje. Obydwaj składają sobie końcowy ukłon, „pierwszy" gość nie siada jeszcze jednak, czekając, dopóki pozostali nie przejdą przez wszystkie stopnie tego samego ceremonjału. Zwykle trzeci lub czwarty z kolei gość skraca ten dość długi ceremonjał odezwaniem się: „Nie mamy śmiałości zbyt trudzić Pana Gospodarza".

Goście, odwzajemniając się gospodarzowi za jego grzeczności wobec

nich, zbliżają się, z „pierwszym” gościem na czele, do jego miejsca, poprawiają mu poduszczykę, podają mu wino, pałeczki, poczem, złożwszy końcowy ukłon, wracają na swoje miejsca. „Najznakomitszy” gość znów się ceremonjuje: „Zajmuję Panom miejsce”, na co wszyscy odpowiadają: „Tak powinno być, tak powinno być!” i wkońcu siadają.

Gospodarz zaprasza gości do jedzenia. Już po trzeciem lub czwartem daniu goście skarżą się, że jedzenia jest za dużo, chociaż wiedzą, że będzie jeszcze przynajmniej 20 dań, a po trzydziestem lub czterdziestem daniu gospodarz przeprasza gości za skromny

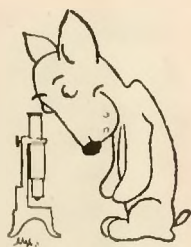
obiad, prosząc o łaskawe przebaczenie, że już nic więcej nie będzie.

Gospodarz, podczas obiadu, pije wino do każdego gościa kolej: obydwaj podnoszą jednocześnie czarki, wypijają do dna, poczem odwracają filiżanki dnem. Gospodarz wciąż zachęca do picia, gość wzbrania się pić, mówiąc: „Dziękuję bardzo, wino jest istotnie wyborne, ale moja możność picia jest, niestety, ograniczona”.

Ostatnią potrawę stanowi zupa, po której goście poraz drugi przechodzą do salonu, na herbatę. Po wypiciu herbaty następuje pożegnanie, i goście odchodzą w towarzystwie swych służących.



...i goście odchodzą w towarzystwie swych służących



OD REDAKCJI

Pragnąc utrzymać jaknajżywszą łączność z szerokimi sferami swych Przyjaciół i Czytelników i zważywszy na wielką obecnie popularność fotografii amatorskiej oraz wysoki jej poziom, *Redakcja „Naokoło Świata”* zwraca się z wezwaniem do licznych niewątpliwie amatorów-fotografów z grona wielu tysięcy Czytelników, aby zechcieli nadsyłać pod adresem Redakcji swe zdjęcia, których temat lub artystyczne i oryginalne ujęcie mogłyby zainteresować ogół Czytelników miesięcznika.

Redakcję interesować będą w pierwszym rzędzie *zdjęcia żywe, uchwycone niespodziewanie, bez pozy, a ilustrujące fragmenty z życia Czytelników lub jakieś specjalne wydarzenia, zachodzące w Ich środowisku.*

Fotografje wyłącznie krajobrazowe, oraz wszelkie pozowane grupy nie przedstawiałyby w tym względzie ciekawego materiału.

Nadsyłane do Redakcji fotografje, nadające się do reprodukcji, byłyby następnie umieszczane w zeszytach miesięcznika „Naokoło Świata” w specjalnie temu celowi poświęconym dziale „Świat naszych Czytelników”.

Redakcja „Naokoło Świata” zwraca się z gorącym apelem do swych Przyjaciół i Czytelników, zajmujących się fotografią amatorską, o jaknajlichnieszy udział w tym nowopowstającym dziale.





Operator filmowy w czasie zdjęć

Film kulturalno-oświatowy

Napisała:

Stefania Heymanowa

Kino, jako środek propagandy kulturalno-oświatowej, jest dziś prawie bez konkurencji. Jedyne współzawodnik — radio, ma wprawdzie nad kinem tę przewagę, że dociera do słuchaczy w ich domach, gdy tymczasem filmu trzeba szukać poza domem, ale za to nie przemawia tak do wyobraźni, nie utrwała się w pamięci tak silnie, jak właśnie to, co się widzi „na własne oczy”. Najbardziej „obrazowy” opis nie zastąpi samego obrazu, zwłaszcza jeżeli chodzi o dotarcie do umysłów niewyrobionych. Dlatego też system nauki „poglądowej” dotychczas jeszcze ciągle uważany jest za najlepszy. Filmy kulturalno-oświatowe są właśnie taką „poglądową” nauką o świecie i jego zjawiskach, posiadającą jeszcze i tę zaletę, że ucząc — bawi.

Żeby nauczyć się czegoś z książki, trzeba

przede wszystkim umieć... czytać; wykład lub odczyt jest dla ludzi nieprzywykłych do gimnastyki umysłowej bardzo nużący, natomiast film kulturalno-oświatowy, zaopatrzone, zamiast napisów, w objaśnienia mówione, jest dostępny nawet dla analfabetów. Właśnie pozór zabawy (którą często film taki jest istotnie) pozwala mu na przyciąganie tych sfer, które zazwyczaj odnoszą się obojętnie do możliwości wzbogacenia swych wiadomości z jakiegokolwiek bądź dziedziny. Często, dopiero dzięki kinu, dokąd udają się w poszukiwaniu rozrywki, dowiadują się rzeczy dla siebie nowych, które niejednokrotnie mogą wpłynąć nawet na rozbudzenie różnego rodzaju zainteresowań. To też dział filmów t. zw. oświatowych (film éducatif) jest dziś potężnym środkiem propagandy kultury, któremu wszystkie państwa

europeskie poświęcają dużo uwagi. Zwłaszcza te, których ludność od niedawna korzysta z dobrodziejstw przymusowej oświaty, starają się rozpraszać ciemnotę w „trybie przyspieszonym”, uciekając się do pomocy kin objazdowych (kina takie istnieją w Rosji Sow., w Bułga-

rji, w Italji, w Hiszpanji i t. d.), które docierają nawet do najbardziej zapadłych kątów danego kraju. Oczywiście, w krajach bar-



*Niehygieniczne podwórko
miejskie, jako miejsce
zabaw dzieci*

*Nauka
na
świecie
powietrza*



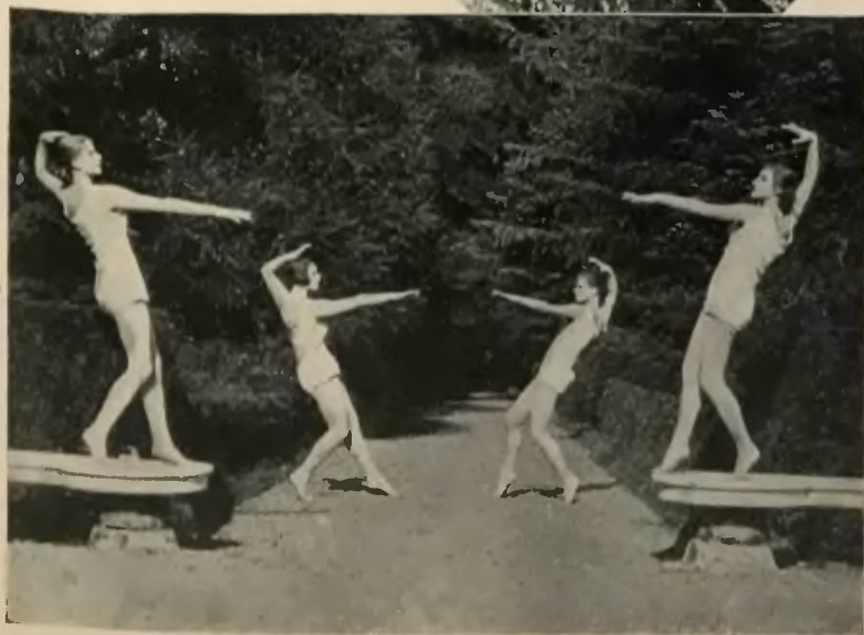
dziej oświeconych stosuje się filmy kulturalno-oświatowe o charakterze mniej popularnym i ogólnym, przeznaczając je raczej dla zawodowców

(rolników, techników, higienistów, architektów, przyrodników, ekonomistów i t. p.), oraz dla szkół różnego typu (powszechnych, zawodowych, średnich i t. d.).

Inwentaryzacją, segregowaniem i wymianą tych wszystkich filmów zajmują się specjalne instytucje



*Gimnastyka dla kobiet
według najnowszego
systemu*



*Żywe
posągi*



*Indjanka
z dzieckiem
(u źródła
Amazonki)*

cialny instytut międzynarodowy, działający pod egidą Ligi Narodów (Institut International du Cinématographe Educatif), z siedzibą w Rzymie. Instytut ten pozostaje w ścisłym kontakcie ze wszystkimi międzynarodowymi instytucjami kulturalnymi, które dostarczają mu materiałów do badań nad zastosowaniem

filmu do najrozmaitszych dziedzin życia i wiedzy. Tak więc Instytut współpracuje ściśle z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Opieki nad Dziećmi, z Sekcją Higieny (przy Lidze Narodów), z Międzynarodowym Komitelem Ekonomicznym, ze Stow. Współpracy Intelektualnej, z Międzynarodowym In-

*Walka
z
kreć*



*Chłopcy
nurkujący
w poszukiwaniu
gąbki*



stytutem Rolniczym, z Międzynarodową Ligą Towarzystw Czerwonego Krzyża i t. d. i t. d.

Obecnie Instytut prowadzi studia nad metodami stosowania filmu przy nauczaniu i przygotowuje historję nauczania wizualnego, które ma być pomocą i dopełnieniem nauczania fonetycznego. Do najbliższych prac

Instytutu należy również badanie najlepszych metod konserwacji filmów wartościowych (z punktu widzenia naukowego i historycznego). Dziś, kiedy już mamy możliwość utrwalania wizualnie i dźwiękowo faktów, z których niejeden niewątpliwie przejdzie do historii, sprawa organizacji filmotek



*Plaża
dla dzieci
wielkiem
mieście*

jest niezmiernie ważna. Szereg „aktualności” dźwiękowych, zademonstrowany, przypuścimy, za 200 lat, da widzom i słuchaczom pełniejszy obraz naszej kultury, niż niejedna książka.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szersze omawianie działalności Instytutu Kinematografji Wychowawczej, ale może choć to, co powiedziałam, pozwoli czytelnikowi zdać sobie sprawę z tego, jak olbrzymie możliwości oświatowe tkwią w filmie, zwłaszcza w filmie mówionym, pozbawionym napisów, a więc nie wymagającym nawet umiejętności czytania. Niestety, filmów takich nietylko w Polsce się nie tworzy, lecz nawet nie wyzyskuje się tych filmów zagranicznych, które możnaby pokazywać u nas z wielkim pożytkiem. Jakie ogromne zastosowanie mogłyby mieć takie filmy naprz. w różnych naszych zapadłych wioskach i miasteczkach, gdzie spełniałyby jednocześnie rolę nauczyciela i opiekuna, doradcy i „zabawiacza”. Filmy z dziedziny higieny, ulepszeń gospodarskich, opieki nad matką i dzieckiem, walki z handlem żywym towarem i t. p. mogłyby rozpraszać ciemnotę, ustrzec ludność przed niejednym niebezpieczeństwem, zagrażającym jej zdrowiu fizycznemu i moralnemu i zwalczać największą bolączkę naszej prowincji, jaką bywa często zupełny brak kontaktu z jakimś ośrodkiem kultury.

Poza filmami krajoznawczymi, filmów oświatowych u nas niema. Największą produkcją tych filmów w Europie poszczycić

się może berlińska wytwórnia „Ufa”. Dział ten, prowadzony przez specjalistów, zaopatrzonego w najdoskonalsze środki techniczne, rozsyła swój „towar” nietylko po całej Europie, lecz nawet — do Stan. Zjedn. A. P., gdzie filmy te — których „naukowość” ubrana jest w bardzo zręczną, barwną i żywą formę — cieszą się wielkiem uznaniem i powodzeniem.

Dla zobrazowania pracy tej wytwórni, w dziedzinie filmu kulturalno-oświatowego, wystarczy powiedzieć, że wychodzi stamtąd około 100 takich filmów rocznie (o przeciętnym metrażu 200—500). Katalog obejmuje najrozmaitsze działy, a więc: przyrodę, krajoznawstwo, przemysł, etnografię, technikę, medycynę (około 400 filmów), rolnictwo, leśnictwo, ogrodnictwo, łowiectwo, rybołówstwo, gry i sporty, reportaże, wreszcie — filmy rozrywkowe z życia zwierząt.

Wszystkie te filmy, w wersji niemej, były opatrzone napisami. Dziś filmy kulturalno-oświatowe — równie jak rozrywkowe — przygotowuje się w formie dźwiękowej i objaśnienia ustne nagrywane są w kilku językach, między innymi również po polsku.

Żałować należy, że nasza kinematografia wcale nie posiada takiego działu, który, przystosowany do naszych warunków, mógłby z dużym rezultatem spełniać swe zadanie oświatowe. Wobec rozmachu, z jakim nasi filmowcy wzięli się ostatnio do pracy, miejmy nadzieję, że pomyślą również o zapaleniu tej luki i znajdą poparcie odpowiednich czynników.

*Rozwiązanie „Logogryfu” (2) z VI Turnieju
Zadaniowego, wykonane przez p. Hilarego
Brauna z Nowogrodka.*



litery, utworzyć sześć wyrazów sześcioliterowych o następującem znaczeniu: 1. Część sceny. 2. Poczęstunek przy kupnie. 3. Spodosobność. 4. Pogląd naukowy. 5. Wymówienie pracy celem zmuszenia do pewnych ustępstw. 6. Wiara w przeznaczenie u mahometan.

Franciszek Grochocki.

14. ARYTMOGRAF IMIENNY.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

$$\begin{aligned} 14 - 10 \times 11 - 3 \\ 14 - 16 - 1 - 14 \times 2 - 16 - 4 - 11 \\ 13 - 18 - 6 - 16 \times 2 - 16 - 4 - 11 \\ 7 - 5 - 15 \times 2 - 6 - 13 \\ 10 - 5 - 4 \times 6 - 10 - 7 \\ 12 - 6 - 7 \times 16 - 4 - 11 \end{aligned}$$

Warunki uczestniczenia w VII Turnieju Zadaniowym ogłosiliśmy w nr. 78 „Naokoło Świata”. Termin nadsyłania rozwiązań zadań z bieżącego numeru upływa 4 maja 1931; obowiązuje data stempla pocztowego. Rozwiąza-

nia należy nadsyłać w pełnem brzmieniu, wraz z wyrazami pomocniczymi. Najstetyczniejsze rozwiązania rysunkowe i najładniejsze rozwiązania wierszowane zostaną nagrodzone i zamieszczone na lamach działu.

ROZWIĄZANIA

ZADAŃ VI TURNIEJU ZADANIOWEGO

„Naokoło Świata” nr. 76:

17. LOGOGRYF

ZaWięrcie
AlEtsch
DuNajec
ArAgo
NiObe
InKasi
ElOrn

ToLstoj
UgOlino
RoScisław
NeWada
IfIgenja
ErAzm
JaTagan
OmAr

Rozwiązanie zasadnicze brzmienia — Zadania Turniejowe „Naokoło Świata”.

$$\begin{aligned} 3 - 6 - 10 \times 16 - 4 - 11 \\ 17 - 11 - 14 \times 9 - 6 - 20 \\ 6 - 10 \times 16 - 10 \\ 6 - 19 - 7 \times 11 - 14 - 2 \\ 10 - 21 - 3 \times 6 - 18 - 7 \\ 10 - 14 - 3 - 8 \times 2 - 16 - 4 - 11 \end{aligned}$$

Zastępując podane liczby odpowiednimi literami odczytać (po uzupełnieniu krzyżyków) dwanaście imion. Litery środkowe, czytane od góry do dołu, dadzą rozwiązanie.

Władysław Putkowski

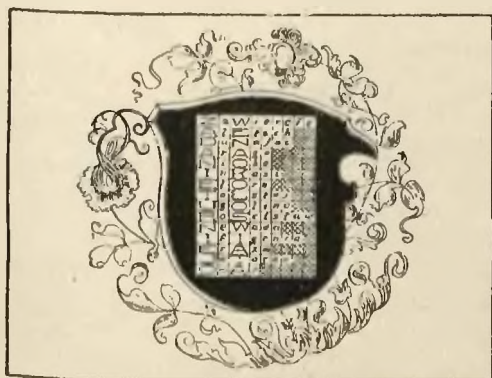
15. REBUSIK

(Za rozwiązanie 6 punktów)



Z podanego rysunku odczytać przysłowiowe wyrażenie.

Jan Stratilato



Rozwiązanie „Logogryfu” (17) z VI Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Józefa Menzla z Łodzi

„Logogryf” p. Ireny Czachowskiej rozwiązała stosunkowo nieliczna grupa Turniejowców, a i w tej liczbie sporo osób potknęło się na siódmym wyrazie (*Elorn* — rzeka w Bretanii), który interpretowano to jako *Asoni*, to jako *Adour*, to znowu nijako, bo w postaci pięciu niewyraźnych znaków z nieznanymi alfabetów. Rozwiązanie zasadnicze brzmiałoby wówczas — *Zadania Turniejowe „Naokoło Świata”* — może i wcale do rzeczy, ale kolidowałoby z warunkami zadania, tj. podany spis liter nie dałby się uzgodnić z fanfanzjami Czytelników w żaden sposób. Stąd wielka ilość stracićców!

18. ZAGADKA

K a l i s z

a) *szalik*

b) *kłisza*

c) *liszka*

d) *szalki*

e) *szlaki*

f) *laszki*

Łatwą „Zagadkę” rozwiązywano nieraz niekompletnie, przeważnie bez wyrazu *Szalki*. Niektórzy jednak ze specjalną satysfakcją podawali po... dziesięć kombinacji z liter wchodzących w skład wyrazu *Kalisz*. Oczywiście, najmniej zwracano uwagi na sens tych transformacji, ale trudno — na to niema lekarstwa. Z błędów notujemy najczęściej spotykany — *Szalka* (zamiast *Szalki*), co, jak zresztą każdy inny błąd lub brak, powodowało skreślenie pół punkta z wyznaczonej porcji.

P. Julian Szwed z Wilna nadesłał następujące (niekompletne!) wierszowane rozwiązanie „Zagadki”:

Brzmia bojowe fanfary. W Turniejowe szranki
Śpieszy zastęp rycerzy. Każdy swej bogdanki

Wypatruje wśród licznie zebranego dworu.
Cały *Kalisz*, wielkiego pełen dziś splendoru,
Przybył tu, by obchodzić swe rycerskie gody
I nagradzać aplauzem wojów korowody.

W łóżach *Laszki* w spojrzeniu chcą ukryć
dostojnem

Serca ozułe jak *kłisza*, a w miłości hojne.
Gwar umilkł i wstrzymano oddechy dokoła,
Bo wyszedł właśnie herold i trzykroć zawołał:
„*Mikołaj Liszka* z *Liszek*, znan w całej Europie,
Najświetniejszych rycerzy wyzywa na kopje!”
Ledwie zmilkło słów echo, przez podwórcza

szlaki

Suną w stali rycerze i w stali rumaki;
Każdy na swym szyszaku znak bogdanki niesie:
Ktoś ciżemkę, ten *szalik*, ów wstążkę zawiesił.
Trzasnęły głucho kopje, szczęknęły koncerze...
...Tak się zaczynał Turniej żelaznych rycerzy!

19. IMPRESJA REBUSOWA

*Ra - styl - koc - zło - wieka - czarodziej -
ski - kwiat - szczęścia - zak - wita.*

Raz tylko człowieka czarodziejski kwiat
szczęścia zakwita...

Tu się zdarzało wiele komicznych rozwiązań, które trudno, ze względu na brak miejsca, rozwałkować. Zwracamy jednak uwagę na często spotykany błąd, który polegał na tem, że do treści „Impresji rebusowej” wciągano niepotrzebnie rysunek ornamentacyjny Autora zadania — *Miłość*, co spaczalo treść zdania.

20. GWIAZDA WIROWA

- | | |
|----------------------|-------------------|
| 1. a) <i>KajapuT</i> | b) <i>KredytU</i> |
| 2. a) <i>OppenaU</i> | b) <i>OnufriJ</i> |
| 3. a) <i>NabijaJ</i> | b) <i>NiangUE</i> |
| 4. a) <i>IquiquE</i> | b) <i>IrawadI</i> |



Rozwiązanie „Gwiazdy wirowej” (20) z VI Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Józefa Menzla z Łodzi

5. a) *Eremici* b) *EnglicN*
 6. a) *CynamoN* b) *CranneR*
 7. a) *VenatoR* b) *VelpeaU*
 8. a) *IlmenaU* b) *Introit*

Rozwiązanie zasadnicze brzmi — *Koniec VI Turnieju*.

Otóż ten koniec był żalostnym dla większej ilości rozwiązyjących. Pomijając błędy spo-

radyczne w wielu wyrazach, każde prawie rozwiązanie świeciło jakąś pustką. A już na specjalne wyróżnienie zasługują rozwiązania w których podawano tylko... *Koniec VI Turnieju!* Niewiele!... W każdym razie za mało na zdobycie chociażby jednego punktu. Tem cenniejsze są pełnowartościowe rozwiązania nielicznych Turniejowców, zwłaszcza prowincjonalnych, których z tego tytułu oczekuje zaszczytna lokata w *Rozstrzygnięciu VI Turnieju Zadaniowego*.

W następnym numerze podamy *Spis rozwiązyjących* z wyszczególnieniem punktacji, poczem ogłosimy *Spis nagrodzonych* oraz *Roz-*

strzygnięcie „Konkursu Autorskiego” wraz z jego planem.



(334). *Braumanowa H.* — *Kraków*. W chwili, gdy słowa te piszemy, *Konkurs Wszechpolski*, wskutek nawału materiału i znacznej rozbieżności zdań co do wartości jego planu, co wymaga gruntownego zanalizowania wartościowszych prac — nie jest rozstrzygnięty. Poza tem osłaniamy się zawodową tajemnicą.

(335). *Milowski E.* — *Poznań*. Bardzo dziękujemy za doskonałą *Krzyżówkę* w stylu Tristana Bernarda. Co do *Mitodrowskiego* — już go nie-ma!

(336). *Grochocki F.* — *Warszawa*. Rozwiązanie w ostatnio nadesłanym *Rebu-*

sie szwankuje pod względem wyrazów w zdaniu. Co do rozwiązań — w porządku! Uwzględnione!

(337). *Pazurkiewicz T.* — *Tarnów*. Nowonadesłane zadania wykorzystamy, częściowo w bieżącym roku. Poprzednie zadania byłyby jednak bez ułatwień za trudne. Jeżeli się uda trochę przerobić — wykorzystamy w swoim czasie.

(338). *K. T.* — *Kraków*. Będzie Pan miał, to co Pan chciał, a więc w każdym numerze zadania.

(339). *Nowak S. J.* — *Lwów*. Dziękujemy za okazowe numery „*Słowa Polskiego*” z działem „*R. U.*”. Przy okazji zareklamujemy.
 J. K.



Rozwiązanie „*Gwiazdy wirowej*” (20) z VI Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Jana Stratilato z Warszawy